

ZAWODY.

TEGOŻ AUTORA:

NIEZGUŁA. Powieść. Lwów. 1911 r. Cena 4 kor. 50 hal.

107
V
4-17

P.
726.

~~1016~~

JULJUSZ KADEN

ZAWODY

NOWELE

~~1015~~

*Piękniejszej Przyszłości —
— Zima*



1987

SPÓŁKA NAKŁADOWA „KSIĄŻKA“, KRAKÓW.

SKŁADY GŁÓWNE: WARSZAWA, G. CENTNERSZWER I SKA; LWÓW,
H. ALTENBERG; NEW-YORK, THE POLISH BOOK IMPORTING Co. ::

Przedruki, nieuprawnione przez autora, wzbronione. Wszelkie prawa autorskie co do tłumaczeń i przeróbek zastrzeżone.

Copyright by Juljusz Kaden, nineteen hundred eleven.

Nr 794 J Kaden



253243



BIBLIOTEKA GŁÓWNA
Uniwersytetu w Białymstoku



FUW0106452

Winieta okładkowa rysunku K. Młodzianowskiego.
Klisza z zakładu R. Brzezińskiego i tow. we Lwowie.
Czcionkami Drukarni Ludowej w Krakowie — 11-11.

W-125/2000



1016

DRUCIARZ.

Zawody.

1

15



Chudzik se na drodze przystanął, ten ziemniakowaty swój nos w górę wzniosł i jął węszyć czy tropić: zimne, świeże powietrze, zapach, idący z miasta, ten i ów dym złowonny, ten i ów miły, pierś we wnętrzu niby miodem głaszczący. Ale jeszcze coś prócz tego wszystkiego węszył druciarz Chudzik z otwartej drogi, jakby białym płótniakiem ku miastu wyciągniętej. Oto radość przyszlą węszył.

Ej! przyjdzie tu jakaś krzta radosna, radosnej chwili przebłysk nadejdzie. Ej, niby na nosze, na kołyseczkę wyplataną z zimnego szuwaru Chudzika wyniesie i pohuśta.

Zdaleka przez świetliste powietrze, niby przez farbkę niebieską w wodzie rozpuszczoną, widać stare narożniki Wawelu, podziurawione czarnymi oknami, rzekłbyś te spódnice i kiecki bab w gromadzie rozsiadłych.

Ej, skądże ta radość przyjdzie i jakie nosze sprawi i kogo i gdzie, jak bujać i huśtać będzie?

Ano, gdzie ona jest, niewiadomo. Ale wiadomo, że w Chudzikowej piersi zostawiła wartki wrzątek czegoś, co się kołem obraca, piętą przystępuje, śmigą wiatraczka strzyże, młyńskiego kamienia żuchwą miele smakowicie i powiada gwałtownie,

a tak radośnie, że aż gderliwie, i tak prędko, że aż pytlując — powiada w oczy patrzące, w ucho rozwarte i nos wężący: Radość cię czeka, Chudzik — i już. Gdzieś ci się ta na drodze twego dnia strawa, posiłek nadarzy i już.

Na tę myśl, z najniższej czeluści głodowej wychynęło coś pod górę, błysnęło w oczach, zwarło szczęki i zaświergotało w uszach chłopca: Ech ty! jedzenie.

Czerstwy, ranny głód ścisnął idącego Chudzika, krzepko i zdrowo. Przystanął, bo mu mruczało w środku, jakby w brzuchu kot na przypiecku mruczący siedział. Przysłał Chudzik, porteczki podwinął, paskiem ściągnął, potym z ramienia na ramię przełożył rzemień z ciężarem. Przywykł i jużby nie wiedział, jak się ma ruszać bez tego gniotu, który dźwigał za sobą. A było co dźwigać. Nosił przecie na sobie blaszane formy, firanki, zmiotki, łapki na myszy proste i droższe, i zmyślne, otwierające się z dwóch stron, na dwie myszy. W torbie miał kawały blachy do łatania rondli, różnoraką maź do lepienia czerepów, obcęgi, obciążki, wreszcie na ramieniu zwoje białego i mosiężnego drutu.

Przerzucił to wszystko z ramienia na ramię i poszedł.

Z za zakrętów, z za wikliny, z poza mgły lekkiej, wylegał coraz sówiciej cały Wawel z wieżami, kręconemi wysoko pod niebo, z drugimi, którym jakby kto w łeb dał i spląszczył, i trzeciemi, co, gruzu się najadwszy, wyrósć nie zdążyły. Między tym zgromadzeniem wież murowanych, przylepek i łat

rozrastał się mur warowny, zjedzony przez burze, słoty i szturmy. Zdaleka to się ten mur bronzowy, przechodem czasów ściśnięty i wysuszony — widział Chudzikowi — niby ogromne kromy czerstwego razowca, tu i owdzie spękane daleko w głąb, aż do ośrodka. Bo jako przez spieczoną skórę ośrodka — tako tu z murów wyłaziła — wyciskała się ta stara, odwieki pamiętająca i wciąż płodna ziemia.

Juści tak. Bo gdy na starym bochenku chleba pleśń i śniedź żeruje — tu, z między-pomiędzy starych wawelskich rozłamów hasa w najlepsze ku górze bujna zieloność.

Dziwnie to wyglądało. Powiedziałbyś, człowieku, że samo życie nowe różgami prętów soczystych tryska z rozpadlin, że młode życie wachlarzem liści, bogatszym od pawiego ogona, starość owych murów pociesza, łagodzi i koi.

Dalej od Wawelu, od schylonych przez wiek grzbietów katedry i kaplic spływały se wzgórza ku dołowi modrym fałdem zieleni, aż po srebrną listwę Wisły. A ta Wisła teraz we słońcu wiosennym widziała się Chudzikowi, niby rozpuszczony, jedną, niewyczerpaną wodą płynący płynny djament, oprawiony w złoto nadbrzeżnych piasków.

Wiater se chodził i łąził między wszystkim. Przez wodę rzeki pluskał tchem słodko dmuchającym, to znów wikliny ku sobie słaniał, że się liśćmi szczepiały, niby splótszy ręce dzieci — kręgiem rozchwanym tańczące. To znów trawę pod włos do góry cesał i, lecąc wyżej, rozganiał nadmiastowe dymy po czystym niebie.

I jakżeby to mogło być — pomyślał sobie niechcący Chudzik, rozwartym okiem widok obejmując — żeby to-to wszystko nie dało zjeść i napić się i zarobić człowiekowi.

Ominął spojrzeniem stary zamek wawelski i patrzył na samo miasto Kraków. Na te dachy spiętrzone, splątane, polane światłem słońca niby topionym masłem. Na te wieże — co, żebyś, człowieku, nie wiedział, tobyś myślał, że tam wysoko, w przestworzu nieba czystego, głosem godzin bijących nie godzinę znaczą — a zasię oddychają głośno, śpiżowym tchnieniem z kamiennej piersi oddech miarowy wypierając.

Przysporzył kroku. Teraz mu droga szła nad samą Wisłą wedle rybaków i galarów. Rybacy, niby te haki białe u brzegu, siedzieli nieruchomo nad wodą z wielkimi wędami, wpatrzeni w srebrny połysk toni — rychłoli się pławik zakołysze.

Zato na galarach szło życie już na dobre. A zdały się one, grzecznie obok siebie stojące, szerokie, pojemne, niby czyjeś chodaki lub kierpcie.

Udała się ta myśl Chudzikowi i zaśmiał się. Juści na takich chodakach wielgachnych, mocnych i posuwistych sunie se człek po wodzie, ojej, jeszcze jak zgrabnie. Chodaki nielada, większe niż łódka, zmieści się w nie wszystkiego jak w karczmę, ale nie dla zabawy są — mocne i spławne.

Pełne były węgla, który się w słońcu mienił i łuszczył sinawo-niebieskim poblaskiem. W środku każdego galara widniała przystojna budka podłużna. Na progu jej siedział se taki lub owaki fli-

saczyna i prządl z fajki do zębów uczeptionej cienkie wstążeczki dymu. Opodal na ceglach paliło się krasne ognisko pod garnkiem z warzą. Płomień drzeniem i blaskiem raz po raz znikającym ginał w jasnym ogromie powietrza i, zdało się, targał nim i na karbki zwiął. Bo wszystko, coś z oddali ponad ogniskiem ujrzał, drżało, jakby żarem płomienia kołysane.

Do miasta by już wejść — pomyślał Chudzik.

Żał mu się zrobiło tego widoku, tego powietrza słodkiego, tego zapachu, co nęcił wonią jak proszące zaprosiny. Ale wiedział Chudzik, że przecie pracować, zarabiać musi, bo musi do domu nad wieczór pieniądź zarobiony przynieść. Więc żeby tak i tu pozostać i własne lenistwo omylić — kroku zwolnił i już szedł noga za nogą, becząc głodnym, żadną strawą nie przetartym głosem: Garnki drutować, garnki drutować!

Odezwał się któryś flisak z dołu z nad Wisły: „Chodźno tu“.

Pobiegł Chudzik. Pokazali rozbity garnek do odrutowania, umówili się o cenę. Chudzik siadł na krawędzi galaru. Z blaszanym chrzęstem ścigał przez głowę rzemień z wyrobami, zwoje drutów i torbę. Zsunął to wszystko na ziemię, że aż jęknięło, i zaczął przymierzać czerepy garnka.

— Jodeś już co? — zagabnął flisak stary, siedzący przy ognisku.

— Nie — odpowiedział Chudzik. I zaraz radośnie się zaśmiał, drąc głowę od ucha do ucha. Bo

przecie wyczuł w głosie starego niby srogim i zdzierzystym, że nie po próżnicy o jedzenie pyta.

Tymczasem przy ognisku drugi flisak z fajką w zębach zakrzętnął się i, podawszy chłopcu garnek gorącego żuru, wrócił na swe dawne miejsce.

— Niech ji — rzekł.

— Niech se poji — dodał stary.

Cisza zaległa. Słuchać było, jak chłopcy w szczękach niezłomnych miażdżą chleb, podlany, zwilżony, rozrobiony tym kwaśnym żurem i śliną sprawiedliwego głodu. Chudzik też nie dał się prosić, tylko zawijał, aż mu w skroniach trzeszczało.

Dobrze było. Ogień coś tym trzaskaniem płomieni pytłował i ranną ciszę bruździł; chłopcy mlaskały ów twardy chleb, językiem niby kijanką rozgłosnie przygniatając, a łyżki na krawędzi garnków chrapliwie skrzypiące pokazywały, że statecznie ludzie jedzą i potrzebnie.

Smakował Chudzikowi ten żur, Jezus! — jak smakował. Kwaśne to było, że ci gębę szczypiąc ścigało, ale nie nadto, tylko w miarę. Nie ugryzła cię ta kwaśność, a i owszem, im więcej jadłeś, tym cię więcej swą kislą potęgą radowała. Gęste, po wysuszonym przełyku szło rozważnie, statecznie, jak dobre słowo rzeczzone w ciężki czas, dając otuchę i ciepło. I dokumentne to było. Kiedyś ledwie kilka łyżek przełknął, toś zrazu czuł, żeś w sedno spraw twych i kłopotów ugodził, człeku, że zaspokajasz nareszcie ten brzuch niesforny i nie-nasycony.

Podjadł se Chudzik, skromnie powstał, miseczkę

przypochlebnie na miejsce wedle ogniska odstawił i wziął się do roboty.

Właściwie, to śpiewać mu się chciało z tego dobrodziejstwa, co je czuł teraz w żywocie słodką pogodą płynące. Ale się wstrzymał ze względu na flisaków.

Robotę zaczął. Przepatrzył se skorupki, przymierzył, przycelował tym bokiem i tamtym, tym do tego i tamtego, cierpliwie i chytrze. Przymierzywszy, zlepił. Zlepiwszy — z drucianego krążka wywinął drut, błyszczący niby włosie, a wykrętny, nieustępliwy i nieusłuchany. Co-nie-co wymierzył, ile trzeba było zmiarkowawszy. Obciążkami, niby tym pyskiem psim, drut chwycił, zgął i ugryzł — czyli odciął. Garnek zlepiiony wgrążył se Chudzik w brzuch, tak miarkując, aby się naczynie na podółku między podniesionymi udami a piersią przytrzymującą statecznie ustaliło. Wysunięty język zębami przyłapał, uszy od pracy i namysłu zaczerwienione nastawił i wziął się do pracy ostatecznej.

Zaczepił Chudzik o garnka kant drut na ząbek zakręcony. Przez denko zwinnie przeciągnął, zaczął z drugiej strony, a potem na krzyż, a potem w gwiazdę. Na środku gwiazdy skreślił końce drutu w warkoczyk i stąd dalej na prawo i lewo, z oczka na oczko. Z kłębu, niby z kądzieli owo włosie, coraz więcej drutu troczył, raz wraz stopą w kierpieć obutą kłęb dalej od siebie kopiąc.

Śmigała w rannym słońcu ta nić żelazna, którą Chudzik garnek rozbity od spodu w znak gwiazdy oszywał, a paluchy chłopaka, z pozoru niezgrabne,

powiedziałbyś wałkonie lub niedorajdy, zgrabnie się przy robocie zwijały. Każdy za siebie swój rozum miał, mimo, że wszystkim świadoma dłoń rządziła. I znów mu drutu brakło i znów se go, obcęgami w powietrzu szczeknąwszy, uciął, oczko palcami ugniół, w zębach ścisnął, niby ową żmiję czy ślizkiego padalca — drut w świder splótł i jął drutować dalej i tym drutem, w czworoboki zaginany, szczepionym mocno, garnek okręzał, spajał, spoił — aż się klej z czerepów krawędziami wypacał i wyciskał, aż skorupy podołkiem przychwycione postękiwały. I tak pracował, działał, kręcił i wiercił, jakby nie drutem, a tą rodzoną myślą własną ów garnek do kupy skupić miał.

Dobrze mu się pracowało. Złotym słońcem po głowie głaskany, zdrowo pojezony, siedzący na krawędzi galaru nad tą wodą Wisły, bardziej świetlistą niż blacha, co ją Chudzik w torbie nosi, chybotać się na mocnych poślakach, pracował se Chudzik w to słoneczne rano, nie czując, że mu się palce na drucie jak druty gną i na obcęgach strzępią. Nie czuł, że mu oczy potem zachodzą, że zgryziony, przed wargi wysunięty język schnie, a grzbiet wysilony drętwieje. Nie czuł Chudzik fitygi ani żadnej udręki, ani wcale mitręgi, bo pracował, a pracując, myślał.

Zaś gdy mu tak robota szła i w czynnych palcach rajdosząc się gadała, grała i śpiewała, myślał se Chudzik o Bóg wie czym. O tym graniu, gadaniu, o tym śpiewie roboty, co go człowiek uchem nie usłyszy, ale piersią pracującą pojmie.

Ze skrzypem drutu, z pochrzęstem czerepów stękających szła myśl Chudzikowa coraz dalej i dalej od tego, co jawne jest, aż do jakiegoś kresu, a od kresu owego niby w jakieś pole cudne bardzo, mało znane i szczęsne.

Więc myślał se Chudzik, myślami na wsze strony, niby koń uchem, strzygąc, o tym, gdyby mu to kiedy cały galar zdrutować przyszło — żeby zrobił.

O tym, gdyby mu kiedy całe to miasto Kraków, rozbite, odrutować przyszło: żeby się namyslił, pokruszzone czerepy zmyślnie złożył — i odrutował.

I gdyby mu ziemie rozbite, rozszarpane w całość odrutować przyszło — żeby odrutował...

I gdyby mu cały ten świat, co mówią, że kulą jest straszliwą, po przestworzach latającą, odrutować rozbitą przyszło — żeby się w kupę zebrał, w sobie rozognił i dechu w płuca wziął. I żeby wtedy myśli w głowie jak w kuźni stal — do wszystko widzącej jasności rozgrzał i żeby zamiast drutu promień z cyferblatu słońca zdarł, i żeby onym promieniem cały świat schorzały i rozbity w całość zdrutował.

PRACZKA.

Ręce chluszcza, pluszcza, chlupią, chlapią, to kłusem drobia, to na wyrypy cwałem rwą. Moc się zaległa w nich niestrudzona i podrywa je i pędzi w skrętach drżących. Plusk wody wilgny nawrotem owija dłonie, a rozczapierzone palce wpijają się w ochłap płótna, nawłóczą go na się i zwłóczą, suną, brużdżą, sieką i biją.

Wreszcie dość!

Unoszą się piersi w górę wysoko, jak najwyżej. Pracзка wciąga i chłonie powietrze. Głębiej odetchnąć nie zdoła, a chce jeszcze głębiej, jeszcze mocniej.

Obziera się, prostując grzbiet.

Para wypełnia całą izbę. Pod ścianami, na zatarapconej podłodze leżą toboły bielizny. W kącie rozżarzony komin charcze, chrapie i kurzy słodkawym czadem węgla. Na blachach tańczą i gryzą się błyski skier, a z przykrytych saganów dymi para i wypryskują strugi kipiącej wody. Wśród swędu kręci się i niewidzialnym wyziewem rozściela durzący zapach krochmalu, gęsta woń brudnej, chorej wody i zaduch bielizny.

Gdybyż odetchnąć dwa razy głębiej! Gdybyż wmieścić i zawrzeć w płucach dosytnie to rozrze-

dzzone powietrze, co wciąż umyka i śpiesznym tchem pracującą pierś pogania! Nic z tego. Wciąż brak tu tchu, oddechu, zawsze brak odetchnienia.

Lecz dalej!

Ręce chluszczą, chlapią, znów klusem drobia, to na wyrypy cwałem rwą i, pochwyczone pracy pędem, pędzą w podrygach.

Od chwili do chwili coś się w płomienistych trzewiach przerwie i ogień z trzaskiem na ruszt rymnie. To znów zadrży pokrywa saganu, jakby tam w garnku żywe stworzenie trwało w bólu i w męce, w cierpieniu nieopisanym.

Praczką to pierze, to ustaje, wpatrzona w balję — pełne, mokre, brudem ciekące pole pracy. Po jednej stronie już odebrane sztuki, po drugiej te, które właśnie przeprać należy. Dwie kupy — szale dobrego i złego, wagi zasług, miara ciągłego wysiłku rąk. W pośrodku chwiejnym grzbietem wyrasta kopica piany. Zasiał ją łśnieniem bładę po-blask, prószący z okna. W głąb przeciekł, w oczkach siatki świeci, a na wierzchu niebieską pogodą wy-błyскуje.

Przycicha suterena. W kominie równym ciągiem huczy powietrze. Bunt układa się w saganie i zlewa w jednostajny, rzewny lament. Prawie nie słyhać zegara, co czas cedzi i odmierza, na jedną stronę utykając. W półciszy wyraźnie słyhać lepki szept topniejącej piany.

Na chwilę przywarły ręce praczki do dna balji.

Ciepłym puchem owija je i tuli mydlina. Zaś oczka piany jedne po drugich gasną. Niebieska ich

poświata płynie z warstwy na warstwę w dół, co-raz niżej i niżej. Słyhać, jak oczka nikną i giną w pustce. Wilgotny, cichy szept wypęła z balji, drży w powietrzu, niewysłuchanym jakimś ubłaga-niem wałęsa się przy ścianach.

Jak z pod jarzma wychyla i podnosi praczką głowę. Ostrożnie prostuje zgięty grzbiet. Z rozwar-tych oczu ucieka tęczowy łachman łuny przetęże-nia. Tej łuny, która nawiedza długo przy pracy schyloną głowę.

Nie patrzy praczka na ściany, spocone gęstą cie-czą zaduchu. Nie wodzi oczyma po niskim stropie sutereny. Bo nad suteroną piętrzy się duży, wysoki dom i oknami spoziera w pełny świat, na drogi miasta i cele ludzi. Praczka przed się patrzy w mały prostokąt okna, wznoszący się ponad twardą linję ulicznego chodnika. W tym wązkim skrawku światła szuka chwili odetchnienia.

Światło nie świeże, nie pierwszej wody i nie pierwszej młodości. Przenicowane, przechodzone, z drugiej ręki. Tyle go jest, ile na płat okienny raczyły puścić wysokie piętra, ile się okruczem łśnienia wyłśnić i odbić zdoła na murze kamienicy z naprzeciwnika. Ale choć je z pierwszej jasności wyssali, to samo jest, zawsze jedno, z najstraszniej-szych wysokości nieba.

Wywlokła ręce z piany i dalej prać, bieliznę w wodzie mierzwić, odęte poszewki gnieść, miesić, tłumić, robotę mydłem trzeć; a potem w wodzie suswalić na prawo, lewo, na płask, na krzyż, na wzdłuż i w szerz.



Tej zajadłej pracy potakiwała chrzęstem do krawędzi balji uczepiona wyżymaczka. Ma korbę na boku suchą, twardą, jak uschłe, wywrotne, obrotne ramię strzygi. Ta korba kręci krągłe, ostre szczęki śrub, co się wzajem gryzą i żują. Skrzętna złość żrących się wzajem żuchw porusza dwie białe, ściśle zwarte wargi — istne usta, z dwóch wałków gumy złożone. Te usta sączą przez się i raz po raz wystawiają biały język wyżętej sztuki i coraz z sykiem zsuwają w kosz.

Znów w płomienistej czeluści komina chrupnęły ogniste żebra, żarem strzaskane. Kręty syk zygzakiem wypełił z saganu na blachę. Za oknem po chodniku tętniły coraz częstsze kroki ludzkie.

Widać, że słońce zachodziło, bo kurz fioletowy owionął bruki. W gorących blaskach krzepciej zwarły się cienie. Ruchomym, czarnym trójkątem migały na szybie nogi przechodniów. Cień szybko wpadał do sutereny, niby znak złowróźbny ostrym prętem gwałcił się po ścianach i uciekał.

Spoczęła praczka w tej chwili zachodu słońca.

Ach, terazby spojrzeć przed siebie w czystą dal świata, niewstrzymanym pędem żrenicy polecieć za obręb pogody nieba. Hen, aż ku tej ostoi pokoju, jaką człowiek żywi w sercu po twardym dniu pracy, gdy patrzy w piękny wieczór nieba.

Jakiś niepokój ogarnia praczkę. Jakiś szept ją gryzie. Wyteża słuch. Słyszy, że piana sapie w balji. Sapie, zcicha pęka, a światłość niebieska zsuwa się po warstwach coraz bardziej w dół i w dół,

ku dnu. Balja dyszy... Plaster piany — wydarte skądziś, zmordowane płuco tęczowe — legło między kupami trudnej roboty i kona...

Piana mruży się, ćmi i niknie. Jej przezroczyście sklepienie — to oczek powieki, co mrużą się, pękają wysilone, mrą świetliste.

Coś stało się. Niby że za miastem i w mieście leżały snem zniemożone straszne potwory. I że przekorny człowiek wsadził każdemu znienucka śpiczasty kół w pierś nieobronną. Taki się ryk nagle zerwał. Zerwał się z kominów fabrycznych i, przeraźliwy, jednostajny, wył przeciągle.

Po długiej chwili zmnożyły się na prostokacie okna trójkąty nóg. Szły one za drugimi, ciężkie, czarne, w przechodzie to zwarte, to rozwarłe — czarne nożyce, okraciem po bruku kroczące.

Ocknęła się praczka ze swych zamyśleń. Oto dusza jej nibyto szła po skłonie hali kwietnej, wzorzystej — gdy buchnął nagle ten ryk i już znów posłuchana dusza waruje w oczach. Nie prędko się znuży. Kołacze, naganie tętnem w piersiach — nie popuści. Wartkim chrobotem przeży się w rękach — nie ustąpi.

Spojrzała praczka w balję. Piana już zgasła, niebieska poświata dawno już wsiąkła w wodę. Niejedna musiała minąć chwila w tym odpoczynku. A robota wciąż żyje, czeka na pracę. Bielizna czeka na poprawę, na sprawę, na czystość. Skąpym chlebem robota darmo nie szafuje, przyrzeczonym terminem dostawy po próżnicy nie straszy, lecz srogo grozi. Krzep się — myślała praczka — krzątaj, bo

ci robota głód niesie w zanadrzu, jeśli jej pracę nad siły nie obsłużysz.

Wytała zapaską ręce i, rozniciwszy mętną, złotą łzę kuchennej lampki, sypnęła w otwarty pysk kominą węgiel — czarne, sytne jadlo wszystkich ognisk. Warknęła przeciągle para i zaduch przesłonił izbę.

Sporządziwszy, co należy, znów stanęła za balją. Pracuje.

Ręce chluszcza, pluszcza, chlupią i chlapią, to kłusem drobia, to na wyrypy cwałem rwą. Moc się w nich zaległa niestrudzona, podrywa je w skręt, że się tężą i prężą. Coraz wstrząsa się cała postać kobiety, jakby do balji wskoczyć miała. Coraz nowa szmata przez chwytkie dłonie się przewija. Plusk wody wilgłym nawrotem palce okręca, a dłonie rozczapierzone, jak raki, kraby, jak ośmiornice nawłóczą na się bieliznę i zwłóczą, suną, brużdżą, sieką i biją.

Gorąco. Kolczugą potu grzbiet się kryje, dygocą spocone piersi w uciążliwym bezustanku.

Stoi praczka na miejscu, nogami, zda się, wrosła w ten dookolny deptak przy balji, a przecież prędko tchnie i śpieszno dyszy, jakby biegła. Bo chociaż nogi stoją, to ręce bieżą, kłusują, człapią, z wody się wyciągają, w wodzie grążą czynne i zwinne.

Ubywa i przybywa, maleje i rośnie to jedna kupa bielizny, to druga. A wpośrodku rajdosi się, szeleści i mlaszcze jezioro brudu.

Ogień trzaska, para wciąż pryska, lampa osnuwa się zwolna czarną rzęsą kopciu. Za oknem, po ulicy, cieniem nożyc tnących mija przechodzień.

Czasem łoskot powolnego furgonu zatarga szklaną piersią szyb.

Praczka w deptaku pracy drepta i krąży i miarkuje, że ludzie idą, śpieszą się, przemijają. Ona zaś rękami w tej balji bieżą, kłusuje i nigdy chyba nie zdąży i nigdy tamtych pośpiechu nie dogoni.

Mijały chwile. Płynął równo w ciemną głęb nocy szary wieczór. Musiała przestać. Należało wyważyć czop i brudną wodę z balji precz odprowadzić. Łakome syrpanie ściekających resztek rozległo się w izbie.

Trza było zmienić robotę, bo dalej już nie sposób. Rozmiękłe dłonie, wystrzępione, stargane palce nie chciały służyć więcej. Ból osnuwał bezwładne ręce. Twarz zdała się samej sobie ważyć, ciążyć, na szczękach wisieć, zbrzęknięta wyziewem krochmalu, porysowana jak szpilką na wsze strony trawiącym zgryzem sody.

Wlała do balji zimną wodę i rozczyniła woreczek farbki. Zmęczone palce dla odpoczynku i dla ochłody pluskały chętnie w niebieskim przezroczu. Koło błękitu, uwięzionego w balji, dawało radość współzamkniętym żrenicom.

Przez okno błękitu nie dojrzysz — skąpe są okna. W sercu go nie masz — dawno przekwitło. Tyle — że wyjrzy ze dna balji i marzeniem ofru nie głowę.

Praczka opłucze w błękicie te szmatki ludzi. Razem z pracą pójda niebieskie marzenia na strzępach, szmatach bielizny do ludzi, a z ludźmi w świat.

Ręce, piorąc, truchtem biegły, myśl się po jakichś zrębach ślaniała nadwątlona.

Ręce chciałyby się roztopić w fali niebieskiej.

Rozpłynąć się w uplocie niebieskiego zapomnienia marzyła myśl.

Czarnemi nożycami rzadziej i rzadziej ciął krok przechodnia zapocony prostokąt okna. Zegar przedzwonił godzinę, a zabłąkane razy uderzeń jeden po drugim — niby śpiżowe klucze padały z czarnej zawory nieba na bruk kamienny.

Zakrzętała się koło przedostatnich robót dnia.

Usiadła w kącie przy kupie właśnie dziś odebranej bielizny, aby rozdzielić, porachować i wyznaczyć. Brała po kolei długie czarne węgorze pończoch — koszule, których zmięte gorsy, niczym sponiewierane piersi, gięły się w prawo i w lewo — wykręcone łazanki mankietów, pogięte nogawki, jakby kołem zgruchotane nogi topielców, lub związane krawatki — podarte na listwy skrzydła ciem i motyli. Sztukę po sztuce znaczyła czerwoną nicią. Błyskawicą stalowego ciernia śmigała igła w rękę praczki, znacząc robotę krasnym śladem w gwiazdy, krzyże, czy węzły. Jakoby cień igły wysysał, wżył się z palców krwawy pot i ze sztuki na sztukę ronił czerwony ślad wysiłku.

Wreszcie uniosła się, by w pierwszej wodzie zładzić pracę jutrzejszą. Znow brudny war zawarzał w balji, a ręce skoczyły w grzazki płas.

Myśli ciężkie, porwane jak te obrzękłe dłonie snuć się jeły w zwieszanej głowie.

I znow spadły w głębię nocy ciężkie uderzenia

zegarów — kroki, któremi czas depcze chwile i po chwilach w wieczność kroczy.

Zrazu pojedyncze, częste, częstsze, wreszcie tłumne stapania lekkim gradem przebiegły po chodniku. Wracali ostatni ludzie miejskiego dnia z teatrów, z wieczornych uciech i zabaw. Pójdą do domów i zasną wkońcu. A wtedy ręce praczki gonić ich będą. Ramiona praczki zaskarbią sobie te chwile nocy, by dognać wśród nich pracą — potrzeby ludzi, co teraz śpią w beztrosce.

Jak ciężko... Tak wielkim trudem przygniotła praca schylony grzbiet. Chyba całe miasto skłania się nań, gdy całe niebacznie, nieroztropnie błoci się, wala i szarga. Zaś nie wie, że nikt inny tylko ona, praczka, wyprać i zaprać ma ten brud.

Dni, nocy, lat nie starczy w tym zbiegu rzeczy i splącie chwil.

Lecz dłonie na schyłku sił, ciężkie jak kamienie maglujące, miały, piorą i trą i niczym gąbki chłoną ten brud. Biegną w locie skręconym, plotą się w bezustannym wyścigu do celu — do końca początków — do czystości człowieka.

SZKLARZ.

Szklarz wszedł, rozejrzał się dokoła i czekał.

Leżało tu wszędzie szkło, pochowane w wielkich zbijanych pakach, niby w kojcach.

Płyta z płytą zwarta, warstwa na warstwie w zieloną głębię zastygła, głębia w jeszcze szerszym odmiecie lśnienia pogrążona. Szklana toń, płynąca z piętra na piętro ku szczytom, tworzyła olbrzymią, pustą, zimną jak lód żrenicę.

Chyba, że nie szkło, a przezroczyste powietrze, zastygłe w płyty. Czy też blask dzienny, zwarty w twardą, dźwięczną lecz chrupką moc, pocięty na błamy, plastry i plasterki, skrajany na przezroczyste zasłony.

Toczył się tu wciąż po piętrach, gankach, piwnicach i strychach gryzący zgrzyt składanych na się tafel i zjadliwy poświst rżnącego djamentu.

Przesłyszeć się mogło: że ostra kamienna iskra rozpruwa tu, trawi i żre samo światło. Że nie szkło, a wióry i drzazgi lodu sypią się z pod oziębłych palców człowieka. Że paki i składy nie poświst djamentu przenika, a syczący, wartki prąd rozłamu i zgryzu.

Hala budowana była z czarnego żelaza i mato-
wych, giętych szyb, które oślizgłą tkanką śluzu

pięły się wśród ostrego szkieletu budowy ku szczytowi. Tam wysoko kręcił się ostrożnie i lekko jakiś człowiek.

Ciężki i nagły smutek zwałił się na duszę czekającego szklarza.

Po hali raz wraz wirował i wiercił się wartką strugą pryskliwy nurt djamentowego zgryzu, a ze skrzyni do skrzyni szedł wciąż świszczący chrzęst i skrzyp szkła.

Ten tokujący pogłos wsącał się w uszy i dusił piersi.

Hala, jak chrupka pierś, charcząc i świszcząc, rzęziła ciągle dreszczem szkła.

Człowiek, przylepły do szczytu budowy, spostrzegł nareszcie czekającego w dole i jał zstępować po skrzyżnym świdrze schodów. Usypywały się z nich białym łyskiem cienkie płatki szklawa, a szron i proch rozpiłowanych tafel zgrzytał piskliwie pod nogami idącego. Kryształowym echem zaśmiała się hala.

Widać, że na chwilę wyjrzało słońce z za chmur, bo gęsta flegma matowych szyb budynku, pożyczona prętowiem żelaza w groźny skos gniewnego oka, nabiegła ciepłym bursztynowym lśnieniem. Ścieło się ono gęstą ropą na zewnętrznych szybach, a przez karby, drażnienia, przez wybite dziury ćwiekami blasku wbiło się do wnętrza.

Pociągnął silniejszy wiatr i machnął kościotrupem sąsiednich drzew w ścianę budynku; na szybach ukazały się sploty gałęzi, targane szarpającym wichrem. Wszczęło się w zakamarkach

prędkie, sypkie pytowanie prochu szklanego. Słoma, wystająca z pak, mierzwić się zaczęła, drzeć i jeżyć. Piasek, pył zaszeptał w kątach, a wiotką mgłą dmuchnął na ganki. Nagle ze świstem stutysięcznych różeg wpadł wicher do hali, podniesionym wiechciem piachu sprzął klepisko, szczypiącym łoskotaniem wwiercił się między głębokie chropowate pachwiny skrzyń, wyrwał skądś mierzwę okrawków szklanych i hałaśliwie opluł niemi cały gmach.

Szyby zblakły. Zgasło słońce.

Człowiek, który zeszedł był z góry, zamknął wrota.

Zrobiło się mroczno, lecz zaciszniej, mimo, że gmach, owiązany szczelnie przedziwem wiatru, trząsł się i dygotał dzwonieniem wszystkich szyb, niby zwarta paszcza o kryształowym podniebieniu i szczękających zębach szklanych.

Przycichło.

Tylko po hali raz wraz wirował i wiercił się wartką strugą pryskliwy nurt djamentowego zgryzu, a ze skrzyni do skrzyni szedł wciąż świszczący chrzęst i skrzyp szkła.

Szklarz nabył od hurtownika zapas szyb, ustawił je w formę. Formę zaczepił na plecach i ruszył na miasto.

Ruszył przecie snuć to szkło po dzielnicy, snuć to lodowate bielmo po rozbitych oknach miasta, słońce je skostniałą błoną przed wiatrem, od hałasu grodzić, zatykać i przesłaniać.

Ulice omiatał suchy wicher. Pletwą piachu klas-

kał w blaszane szyldy, niecił kurzawę na gościńcu, a wedle chodników zganiał śmieci do kupy, biegającej w podskokach i koperczakach z miejsca na miejsce. Okoniem stawiał się względem śpieszących ludzi i ciągnął i targał im odzież. Mijali jedni za drugimi, niby wielkie rozwichrzone strzępy czy kłaki, lecące niewiadomo skąd i dokąd.

Wciąż nie zdążają, już się spóźnili, już bez nadziei w tyle pozostali. Bo ich wyprzedza łopotliwy pośpiech i niesforne wybieganie szat.

Mężczyźni w długich szalach walczą z jakimś niewidocznym biesem, który porwał końce wedle szyi skręconych szmat i rwie, zaciska, szyje zadusić myśli. Kobiety w uplocie sukien walczą z jakimś tajemnym bezwstydem, który im suknie do góry rwie, pnie i zarzuca. Dzieci płaczą na ten wicher, co im w oczy dymem brudnego miału prószy i sypkim świadem ciekawe źrenice kazi.

Szklarz wśród wichru idzie ostrożnym krokiem poprzez ulice. Idzie, zaś dygocące na plecach szkło zgrzyta, chrzęści i skrzypi mu nad uchem: że po dzielnicy snuje szkło, rozpina lodowate bielmo na twardych ramach, on, gnany wiatrem, innych od wiatru chroni i grodzi, on sam, szklarz.

Gdyby nie on, toby im w domach, izbach, pokojach syczał wiatr uszczypliwy, toby im szydłem przeciągów uszy przeszywał, toby im gęstą nacią zawieruchy mieszkania trzepał. I mieliby u siebie w domu, jak mają tu na ulicy, że wiatru zgonić nie mogą, a on ich wciąż wyprzedza i goni, za

suknie wlecze, wlecze i dusi, dusi i pędzi, pędzi i gna, gna, rwie i pcha.

Przez gęstą pleśń i zmarzły brud ciężkich chmur, niby ów djament, prujący szkło, przedarł się nagle promień słońca. Za pierwszym drugi, trzeci, jeszcze kilka, a wszystkie promienistą więzią krwawych cierni wbiły się w miasto. Zrumieniło się błyskiem ślizkie koryto ulicy, złota rdza zażgliła w szybach, zaś na dachy wypęzły rude gadziny blasku.

Wspaniałą ulicą szedł szklarz prędko przed siebie. Nie patrzył na kryształowe wierzeje pałaców, mijał obojętnie całe rzędy szyb okiennych, z poza których zionęły mrokiem głębie pokojów, osłoniętych białymi rzesami firanek. Całą jego uwagę pochłaniały wystawy.

Tu, z cieplarnianych czeluści wypęzły za ogromną szybę schowane białe bzy, róże, goździki, konwalje i wiotkim kształtem skręciły się w zawieruchę puszystych liszek. Tu dyszą na szybę kragłe, jeszcze ciepłe pyski bochenków chleba i długie, słodkie warkocze bułek. Tam w cukierni, rzędami kryształowych butelek od góry do dołu płynie tęczowa smuga gęstych soków, a na białych tacach leżą pstrokate grzędy ciastek.

Jeszcze dalej całe szeregi szyb, a z za nich wyglądają na miasto cudnie postrojeni panowie i panie, woskowe lalki o twardych, szklanych oczach. Prawie każda przytrzymuje ręką opiętą w rękawiczkę zwinięte sztuki materji — dla chłodu ciała giętkie i gładkie sztuki ciepła. Tu znów, za szybą, zlaną posuwistym deszczem łańcuszków złotych

i srebrnych, lśniły na aksamicie klejnoty rozsypaną rosą. Wielki koszt palił się w nich chętnie tyśnięciem blasków złych. Tam dalej z jasnej czerwieni sukna widniały białe, ślizkie ostrza nożów — niby białe wążkie wargi, przywarte chciwie do żywego mięsa.

Zobaczył szklarz, że wszystko, co jest, jest za szybą.

Wyszedł na górę, skąd biegł daleki widok na miasto, na jego stoki coraz niższe, aż hen ku przedmieściu, gdzie tęchną zmurszałe rudery i białym tasiemcem wiją się robaczywe parkany. Gdzie na rozkisłych nieużytkach gęstą odrą czerwienią rumowiska cegieł, a zakaźny wilk pleśni toczy jadem zgnilizny szczerbate gnaty opuszczonych domostw.

Pracował przecie i tu na górze w pałacach i pracował tam w dole na przedmieściu. Jednaka niby to ta praca i niejednaka...

Wychwierutać, wykręcić z zawiasów ramę okienną, złożyć to na podłodze i, wylupując rozbitą szybę, rwać własnej twarzy podobiznę, w nachyleniu odbitą na szkło. Wstawić nową tafłę, wylepić ją przy ramie ciepłą krawędzią ugniecionego kitu, a potem, uwiesiwszy się na wrębie muru, napowrót wkręcić ramę w zawiasy.

Niejednaka to praca. Inne na górze, inne na dole myśli jej towarzyszą, choć przecie wkońcu na jedno wychodzi: że snuje szklarz szkło po dzielnicy, snuje to lodowate bielmo po rozbitych oknach miasta, skostniałą błoną przed wiatrem je słoni, od hałasu zagrada i oddziela.

Chronił szkłem od mrozu i wichru migotliwe ślepką wysokich wieżyc kościoła. Wstawiał skośny zez kryształ w wybałuszone przyczółki bankierskich willi, przezroczystym lodem wykładał zdziwione, wysokie okna pałaców. Zaś wychylony ze szczytowych okien widział miasto w kupę zbite, spłaszczone, dyszące ciągłym gwarem.

Wiatr wydierał z najeżonych kominów białe czuby pary i niesforne strumienie dymu. To znów pędził z ogromnych niebotycznych luf roje skier, które krwawą szarańczą gorzały i gasły w zimnym powietrzu. Lub znęcał się jeszcze srożej i ryczącym gwizdawom wślaczał napowrót w pełne sadzy i płomienia gardziele ten ich ryk rozsierzony.

Z szerokiego placu wziął się szklarz na lewo w dół.

Szedł leczyć te małe, zawsze mętne i dymne okienka, z których szyby, jak oczy boleści wraz ze łzami — wypływały precz, żenione wiatrem. Tu go czekała nigdy nieskończona robota. Tu dobrą, družną ręką wstawiał skąpe łaty kwarcu, który nie mógł dobrze wrócić w nadłamane, wyschłe obojczyki i żebra ściśniętych klatek okiennych.

Nim skończył robotę w izbie parterowego domku, pełnej krzyku, zaduchu, wypocin i mydlin, spojrział na niebo. Bo właśnie słońce zwisło na rozognionej smudze zachodu, niby na kaprawej powiece krwawa łza. Policzywszy się z ludźmi, zbierał narzędzia.

Krzywonogie dzieci skupiły się przy oknie, by wyglądać na czarną ulicę. Po jej środku pełził rudy wąż błota.

Szklarz wyszedł.

Tak samo jak tam na górze z okien w okna na przepych, tak samo tu oknami w okna na nędzę patrzą się ludzie, patrzą, baczą, ślepią i prześlepiają sprawę swoją.

Zaś on, szklarz, jakby o niczym nie wiedział... Jakby niczego nie czuł... Idzie, chodzi, biega i biegnie i zwija się całymi dniami. Leci do hurtownika tam z tej hali, ze straszliwej paszczy szklanej nieco szkła zaczerpnie i wędruje od jednych do drugich, między gwarem ulic, a tętnem domów rozpina zimną oponę i snuje to szkło po dzielnicy i kładzie to lodowate bielmo na domach miasta.

To szklarz sprawia, że jedni drugich nie słyszą. Że śpiący za zimną szybą nie słyszy tego, który w nocy na lodzie osiada...

Wiatr siepnął wartko szerokim zawojem piachu i prochem bryznął w ulicę.

Szklarz poczuł, że niby z krwawych owoców ostre pestki, płyną mu z oczu rżnięte krople zimnego szkła.

Gdy wtedy spojrzął przed się, dostrzegł we wszystkich oknach miasta, kamienną pasieką pod górę wzniesionego, świetlisty blask krwawych łez...

Lecz po chwili niebo rzuciło wielką kroplę słońca hen, w przestwór poza krąg ziemi. Nastął mrok. Szyby zgasły. Na ulicach kocim migotaniem łysnęły latarnie.

Samotność uczuł szklarz na powrotnej swej drodze.

Rozłomotał mu się w piersi ognisty kołowrót

gniewu. Aż mu nagle obrzydła ta jego robota, aż poczuł winę swej uległości, która kamieniem gniecie serce i szyderstwem świszczy w uszach.

Zrozumiał grzech swej pracy.

Toć pychą blasku łypie to miasto ku czarnym trzewiom niskiej dzielnicy. Pożogą obłudy spluwają ku nim te szyby. A przecie nie kto inny, tylko on sam rozesnuł powszędzy to zimne, lodowate bielmo przegrody.

Śpijcież więc, domy, śpijcie, ludzie, śpijcie, okna — huczało mu w głowie. Szklarz was obudzi! Szlochem szkła zapłaczą okienka na bruk. Krasną piwonją wykwitnie wam z szyby... okrwawiona pięść, czerwoną głownią z rozbitego szkła wytryśnie ku wam.

HYCEL.

Tu mieszka: na wydmie, na wydmuchu, na od-
słoniętym hylu. Tu pod pokrywą zamkniętych mu-
rów wrogo sprawuje srogie rzemiosło.

Za najdalszą okrainą miasta, na rozłogach przez
zamięć ulizanych, gładkich jak skóra zleniała. Na
ziemi pod miasto nieużytej, brudem wydzielin usła-
nej, wzgardliwie odtrąconej.

Tu, na tej glebie, co biegnie wdał rozgwiadą
skalistych pagórków, wyniósł hycel zgniłe, sromotne
próchno swej budy.

W dół posępnego siedliska sączą się żółte, spa-
dziste drogi, jak z głowy pasorzyta wyrastające macki
zachłannych pochwyty i uściśnięć.

W jesiennym mroku, gdy dymna miejska mgła
morową zarazą rozścieli się powszędy, zda się hyc-
łowska siedziba i te drogi dokolne, jak ulana żółć
płynące — drapieżnym olbrzymim pajakiem, co wy-
lął się z podmiejskiego ugoru. Wylął i snuje nie-
skończoną pajęczynę szubienicznych sznurów, snuje,
a pętlami stryków wiąże, wiąże podstępnie i czeka.

Sam tu mieszka. Sam rano, wieczorem, we dnie
i w nocy, w jesieni, w zimie, w lecie i na wiosnę,
z nieodebranym łupem ohydnych łowów.

Mija upalna pogoda .lata. Opada pył gorący,

co zarodem wścieklizny krążył, co jak złocistoszary upiór szaleństwa ślaniał się nad rozłożystymi murami miasta. Wraz z pogodą mija ta sfera wyczerpanych psów, które, przyległszy do cuchnących ścian gościnnego potrzasku, z krasnym płatem wywieszonych jęzorów, robiąc bokami, skuczały na swój los upalny, niedrożny i bezwodny.

Już dawno z nich hycel tłuszcz wytoczył.

Mija jesień w nawłokach rozchełtanej mgły, krwawą rdzą nicowana. Szare, śmiertelne prześcieradła chmur zaścielają niebo, z którego mżgą zimne dżdże leżą na świat rozkisły. Kwas, zgaga, śniedź technie ze wszystkich dołów i nor, a wyrwy podmiejskie cuchną, jak zarażone usta. Drogi, z osady hycła w miasto wiodące, rzekłbyś dżdżownice czy strupieszale włókna, rwą się i strzępią, pasmami błota daleko wnikając w grunt nieużyty. Na każdym skręcie, pod każdą grudą czyha ślizki upadek. Koniom nogi podbija, na butach człowieka klejem narasta, okratowaną karetę hycła trzęsie, telepie, pcha na wyboje i wykroty.

Wokoło samotnej siedziby, wokoło tej kostnicy żywego zwierza zapada głęboka obraza pól milczących. Deszczowe krople docinkiem przekornego plusku tną tę ciszę, jak upiorne wargi grasują po zatraconych wygonach, ostatnie życie ssą z rozpękanietego padołu. Śliną nienasyconego głodu płyną po stokach, w uwiąznięciu zaprzepaszczonych.

Wśród nocy cięższej niż niedola, straszniejszej od zwątpienia, w okratowanym więzieniu bezsenna, bezdomna hołota psia tłoczy się z gorzkimi łzami

do krat, pianą beziły obmoczonych, i wyje nieprzerwanym tokiem aż do utraty tchu.

W jesiennej zawierusze zda się siedziba hycłowska miejscem zbrodni, przybytkiem kary bezprawnej, fabryką, która z żywych piersi gwizdawki uczyniwszy, świszcze hasło swych trybów bezlitosnych — śmierć nieubłaganą.

Już i z tych piersi dawno wytoczył hycel tłuszcz.

Mija zima. Obłoki zsiadają się i szarym strzępem leżą na pola. Ziemia puchnie. Ugór zamiejski niby biała purchawka wydyma się półkolem. W jej zgniłych przewodach dzień w dzień wodzi hycel swój pojazd czarny, wrzeszczący, rozszechany. Wy-nędzniałe, głodne psy same idą pod stryk, patrząc człowiekowi w oczy strasznym spojrzeniem. Spojrzeniem, z którego głód wyczerpał wszelką nadzieję.

Mija wiosna. Miasto barwami jako kwiat polny rozkwitło. Wstęgą zieleni opasały się pagórki. Dnie za dniami, niczym ptaki z rąk ptasznika, leżą skore i lekkie. Cały świat stoi otworem, podobny nieogarniętej pościeli, którą kwiatami potrzęsło młode słońce. A w czarnym wozie oprawcy wraca do domu na szczyt hycłowskiej góry namiętny szal niepomyślnych psów. Zbuntowana radość kruszy zęby na kratkach. Bezpańskie sobaki gzić, plenić się chcą.

Już i z nich wytoczył hycel tłuszcz popłatny.

Sam rano, wieczorem, we dnie i w nocy. W jesieni, w zimie, w lecie i na wiosnę.

— — — — —

Rozwarł wrota, furgon przepuścił, a potem obydwa z pomocnikiem wyszli.

Idą pośrodkiem drogi, nie chcący, niczego nie wiedzący, pozorem niefrasobliwym zamaskowani, podczas gdy za nimi hurgocze kratowane wóz-więzienie. Podczas gdy sami na strony z podełba łypią, baczą i śledzą. Ich oko przetrząsa spękaną dal ziemi, gruntownie rewidując.

Idą leniwo. Ale pod ociężałym pozorem czają się wybuchy skoku, nurtuje wartki, zwrotny bieg.

Na głowach mycki, kuse, oblepłe, żadnym wichrem nie zwiane. W oczach łasi się obława. W garści węzy jakoweś przykrótkie, kalekie. W twardych butach, w skórzanych portkach, nierozgryzionych, idą spokojnie, fałszem gapiostwa obleczeni, kiwający się z boku na bok. Zastałe opilce, spasionie gamonie — nic więcej...

Dopiero, gdy kitę ogona, w parowie merdającą, spostrzegą, zmieniają figury. Teraz się wloką jeszcze wolniej, noga za nogą, niezdary połamane. Wszystko, wszystko widzące, jeno nie tego psa, co w dole starą padlinę wywąchuje i to kopie, to, poniechawszy kopania, słucha roztropnie.

Z dwóch stron parowu zaszli, idą niechcący z wędami w tyle ukrytemi.

Gdy wtym świsną i pędem skoczą. Zadudni ziemia pod nogami, niby ten rwany włos zaszeleści stargana trawa. Po gałęziach trzeszczących, jak po tych kościach głodomoru na skwarki uschłych, gonią za zwierzem. Ten zaskowyczał, uszy stulił i rwie pod górę.

Ludzie za nim nie z krzykiem, nie z wołaniem, a ujadając. To wyslizgane buty ze szkarpów się spleją, to się głowa między osty uwikła, to ręce, już chwytające, między ciernie głogów krwawych rymną.

Zwierz ciska się, siepie, przed strykiem umyka.

W oczach się mnoży, dwoi, troi. Póki się wreszcie nie wyłabuda, kitą przed oczyma nie machnie.

Szczeka, ujada, a oni za nim z przekleństwem w piersiach.

Lecą, jeden od przodu, drugi z boku, nagonką, podstępem. Rozpięli się w zmienny trójkąt gonitwy, bezwstydnym hałasem na zielonym błoniu tętniący. Trójkąt to spina się, to się już strykami na dobre sprząc ma, to znów ruchliwe jego wierchołki przyskają daleko od siebie.

Pierś się zadycha, wichur w uszach wyje, wałem rozgłosu przewala się, gdy nogi rwą, chyżością pościgu opętane.

Czarny, z czarnym strykiem w ręku leci hycel, ogromnemu komarowi podobny. Jak komar nad wygolonym wertepem, w locie przyziemnym trzęsie się, drży, pole nogami strzyże.

Nagle krętą strugą ostrego żądła upadł stryk na łeb zwierzęcia i wypił z niego wszystek pęd.

Upadł, a obrozą niewoli szyję okręciwszy, całe tętno biegu zamknął we łbie. Zdało się, że rozmach ucieczki, szyją odpływu nie mający, rozedmie czaszkę. Bo już się ślepie wybałuszyły i krasny jezor po białej koronce zębów spłynął ku dołowi.

Hycel zelżył arkanów i z psem, opornie postę-

pującym, zawrócił do kratowanego wozu. Szli powoli, bo zwierzę piętrzył grzbiet i czepiał się ziemi miłośnie. Z bezgranicznym zaufaniem wzięły mu łapy w trawie, pazury lgnęły do rozmięklej gleby. Tak jakby zwierzę z ziemią w jedność zespolić się chciało, ufne, że z całą ziemią zrosnięte, nie zmieści się na katorżnym wozie.

Podeszli. Pies rzucił się między nogi, łkając w rozpaczliwym oburzeniu. Lecz hycel w niecierpliwe dłonie, niby w namordnik, porwał mu pysk, stulił, a z pomocą towarzysza wtarabanił na wóz.

Przedmieściami skierowali się ku miastu. Za wozem zebrała się gromada uliczników i wyrostków, którzy czynili znaki zrozpaczonemu psu, przyjaźnie klepiąc się po udach, z pogwizdywaniem łaskawym. Zwierzę przez łzy szczeekał radośnie, płaszczył się na kratkach i wołał do ludzi o ratunek.

Hycle szli środkiem ulicy, sami.

Dawano im wolną, pustą drogę. Przechodnie usuwali się na boki starannie, niż się cofają przed pojazdem, co grudami błota pryska na strony. Zapobiegliwiej, niż stronią przed psem bezpańskim, co leci niesamowity, ogon zwiesiwszy, z wywalonym jęzorem — może wściekły...

Tłum dzieci, pauprów, andrusów wzbierał, coraz liczniejszy. Z ust do ust przelatywały słowa twarde, gardzące, jadowite, jak rój rozsierzonych ós.

„Hycel, rakarz! Czyściciel! Oprawca!”

Lecz po chwili słowa gasły, bo mało już było

słów na widok tych zimnych, niemiłosiernych drabów, co z kalekami wędami w rękach dybią na niewinną swobodę gościńca. Lżywe słowa przerażały się w syki, gwizd i wycie.

Lecz mało już było wycia, bo hycle szli, głusi na wzgardę, naprzód zaczepnie podani i czujnie śledzący. Nienawiść poniechała głosu, a giestem namiętnym, obelżywym, ruchem szyderstwa, koślawstwem kpin występowała za brzegi chodników na gościniec.

Nagle tuż pod nogi krocącego posepnie hycła, ni to ziarno gradowe, ni to plwocina ciężkiej wzgardy, upadł kamień. Hycel stanął i licem zwrócił się ku tłumowi. Z gromadki malców, cały jeszcze rzutem rozkołysany, jasnowłose chłopaczek z tornistrem na plecach groził małą różową pięścią. Hycel wstrząsł ramionami i ruszył dalej, już z tą chłopięcych oczu wzgardą w oczach.

Znów żądła, ukłucia, drzazgi i zadry nawoływań poleciały z chodników. Niby krople ukropu, stopiwszy powłokę obojętności, parzyć jeły duszę człowieka.

„Rakarz, hycel! Czyściciel! Oprawca!”

„Kat!” — wrzasnął ktoś.

Słowo batem cięło przez serce.

Idzie hycel z jarą szubienicą w rękę, karawan swobody za sobą wlecze.

Sprawiedliwość spełnia na bezpańskim stworzeniu, co płuży nieprzewidzianymi drogami w porządku zaprowadzonym, nieprzewidziane. Bez obro-

ży! Obrozą stryka, śmierci — skarcone. Nie co innego, jeno sprawiedliwość.

A oni mu wołają — kat!

Tu już rozjątrzył się w sobie, a serce w nim ścierpło na sam kamień, kamieniem nienawiści uderzone.

Płocha gawiedź — ważył w sobie, grzęznąc uchem w huczny odmet zaciętych wyzwisk, co go szronem wstydu cięły po oczach. Wstydzą się hycła, wstydzą się własnej sprawiedliwości.

Bo już w tym tłumie, nienawiścią słów zgrzytającym, on, łapacz psów, poczuł się szczutym, szczwanym, jak pies. A wtedy zajęła się w nim zgroza gniewu ogniami rozpaczy. W całej istocie poniżenia stanęła mu przed oczami prawda tego rzemiosła. Oto sprawiedliwość ludzka, na bary hycła włożona, bezpańskim go wśród ludzi sprawia, psem bezobroźnym.

Mścić ją należy, bo sama zemstę na się ściąga.

Rozlazły jakiś szczeniak wybiegł z za rogu ulicy. Hycel, jak samo zbawienie czy bratnią dłoń, porwał stryk i skoczył naprzód. Zdało mu się w tej chwili, że hurmą leci za wszystkich hycli całego świata.

Lecz z chodników poskoczyli malcy psu na ratunek.

Hałas zakrzepł w piersiach ludzi.

Na ulicę spadła cisza niepokoju, kopana tupotem pogoni.

Ach! Dopadnie psa hycel wreszcie!

Mały, jasnowłosy chłopaczek z tornistrem na plecach skoczył na przełaj.

Morda szczeniaka i jasnowłosa głowa zbratały się w oczach hycła.

Świsnął strykiem i, głowę chłopaka złowiwszy, ściągnął w błoto.

Na gościniec z wrzaskiem runął tłum.

SŁUGA.

Rozmazał się świt na brudnych oknach kuchni i z czarnej toni jęły występować sprzęty.

Długi, kuchenny piec werznął się białym czworogrannym kolanem w odmet wiotkiego brzasku. Zielonawe lśnienie oblało łyżki i pokrywy, wiszące na ścianach. Na pyzaty garnkach zadrżały mętne pręgi światła.

Stała kuchnia, niby pogrążona w półprzezroczystej serwatce, napół widzialna, napół w ciemnościach jeszcze skryta.

Przebudzona sługa poziera przed się, robotę sobie tłumaczy i przedkłada. Uprzątnąć. Po węgiel skoczyć. Drzazeg narąbać. Po bułki.

Powstał w głowie ten hałas czynności rozkazanych. Każdej sprawie dogodzić, wszelakiej robocie nos utrzyć zawczasu, pamiętać naprzód, wtył i na krzyż — że, nim mleko zakipi, buty oczyścić można, lecz w międzyczasie, aby mleko nie wykopiało.

Z oddali, niczym krowa za cielęciem płacząca, ryknęło coś przewlekłe. Ryknęło i ryczy i nie przestaje, a drze się coraz zajadlej. A u wezgłowia sługi jakby se na ten przykład stanął sam gderliwy dzień i gębę niewyparzoną rozdziawił i szczypiący pośpiech z niej wysypuje. Gdy mu to nie pomaga,

siłą niewidzianą podrywa sługę z pościeli, podrywa nierobę do obowiązku.

Wstała. Stoi.

Już se rozczochraną głowę przylizuje, już się ogarnia łapu-capu, na tym oto ziąbie rannym. Nawet Panu Jezusowi, co się w kuchennym czadzie na obrazku wędzi, słowa pociechy cisnąć nie zdąży — ino się bierze do roboty.

Pierwsze — ogień, ale gdzie klucz od komórki? Maca ręką na okapie, na blasze, ostrożnie wyciągniętymi palcami między garnki się wdaje — niema tu. Gorąco się robi człowiekowi. Szuru, szuru po zadzierzystym stole ręką, a z wierzchu, bo w słojach drzewnych drzazeg nie brak. Aż w dołku ściska! Bo gdzieś się zadział ten klucz, że go niema — musi djabeł na nim siadł.

Ale przecie skoczy sługa po rozum do głowy. Siarnik o ścianę potarła. Skrzebnał, prysnął, w nosie zawiercił, zieloną kryzeczka świetlistych skrzydełek zatrzepotał. I okazało się przy blasku łójówki. Klucz jak wół leżał na wałkownicy, sama go tam przecie na noc położyła.

Więc klucz, toporek, świecę, zapalki od wypadku, skrzynkę na węgle w garść, byle cicho, bo państwo śpi, chustkę na głowę i do piwnicy.

Chłop wczoraj smolaków nie przywiózł, więc drzazeg narąbała, ale ostrożnie, bo serdeczny palec obierał, zaś wielki, przy szatkowaniu kapusty skaleczony, dotąd nie wydobrał. Zaś koślawe polano to się na ziemię kładzie, to sęk pod uderzenie nastawia, że ani rusz. Wreszcie zładziła wszystko.

Ale miała to wyjść z piwnicy niczym nie po-krzepiona? Zestawiła kamień cierpliwy i, denko z beczki ogórków odłożywszy i aksamitny kożuch pleśni ku środkowi zdmuchnąwszy, syrpnęła kilka łyków tego ogórkowego kwasu.

Teraz w kuchni jak na rozstajnej drodze. Rozpali się, czy nie? I hakiem i łopatką i wreszcie pazurami wygrzebała popiół, co suchym śmierzaniem gardło ściskał. Potym, naprzód papier, a na nim drewnienka w stos. Płonie. Z języków ognistych rodzą się większe, nowe drzewo trzaska jak z bicia.

Tylko że wszystko ma swoje humory i brewerje. Pokręciło się coś nagle w czeluściach pieca. Wiatr mu coś tam wysoko w rurach pokiełbasił. Zamiast, żeby się palił po ludzku, to właśnie kolka go jakaś sparła. Z głębin gruchnął pakuł sadzy, czy popiołu. Jak na drwiny, jeszcze wyższy jęzor ze szczapów wykwił, liznął w prawo, w lewo i znikł. Na całą pociechę śwędziły się strzępy papieru, ognistym tleniem zaobrubione. Teraz pośpiesznie natkała mu w gardziel wiechci papieru i drzewa, póki się wreszcie nie przekonał.

Nastawiwszy wodę, wymknęła się cichcem do pokojów po rzeczy do czyszczenia. Złożyła to na kupę i po bułki.

Deszczyk pluł z góry na ulicę cienkim kapuśniakiem, wiatr spódnica powiewał, aż się śmieciarze miejskie przystawiać chciały.

Spotkała się w sklepiku z koleżankami. Ta jej ostatnią nowość wypowiadała o państwie, o służbie, czy się gdzie miejsce nie trafia i że znowu niedawno

któraś do lafirynd przystała. Ale na uczciwe słowo czasu nie było, bo się furmani schodzili, chłopcy rubaszne i bezbożne.

Gdy wróciła do domu, już się państwo ruszyło. Dzieci trza było budzić, z łóżek ściągać, temu gąbkę, temu wodę, panu do golenia letniej. Między jednym biegiem a drugim do stołu nakryć, buciki wypucować. Tego zapiąć, tu na niewidzianego wedle słów polecenia ręcznik z komody wygrzebać, tu trzewik zasnurować, czuwając poprzez wszystko, aby ogień nie wygasł.

A dziecku się książka zatarapciła, a pan palto zbłocone w pokoju na noc zostawił i teraz je duchem czyścić, a tu kalosz do kubła wpadł, a tu przeciąg głowę człowiekowi urywa, a chłopiec czapkę zgubił, a na mleku kozuch się zrobił i cedić trzeba, bo się kozuchów brzydzą.

Zaś drzwi kuchenne już się nie zamykają. To chłop ze smolakami, to mleczarka, żeby jej zapłacić, bo jutro nie przywiezie, to pani znowu płaci, tylko jej kluczy szukaj, bo są na kredensie, gdzie też ich wcale niema, to jeszcze żydówka z jabłkami.

Wszyscy się śpieszą wielkim pośpiechem czekający: pan na szcztokę do kapelusza, dzieci już w rękawiczkach, żeby je do szkoły prowadzić, żydówka, przy jabłkach z westchnieniem siedząca, węglarz, co z podwórza na górę krzyczy i wyklina, i chłop, który ciągiem spluwa, a za każdym plunięciem służącą jakby kto w serce zgał o tę podługę.

Panu wścibiła szcztokę, przebiera się do dzie-

ciaków. Te stoją złe, już je każda minuta piecze, i kręcą się, gdy im za ciasne kołnierze futrzane na brykającą haftkę spina. Tymczasem pani, choć słaba, w szlafroku rozchełtanym wyszła, że aż chłop od boskiej obrazy obruszył się — i targuje się, a żydówka nie słucha, tylko wciąż: jak swoim dzieciom szczęścia życzę.

Ale cały tumult przecięło jasne słowo — parasol! To pan wołał od jakiejś złości czerwony.

Że to deszcz wczoraj lał, więc na noc w kuchni parasol rozpiąć miała, aby przesechł. Ale go teraz nie widzi. Przepłoszona, przestraszona jęła się kręcić jak fryga, drżące palce w trwodze z traskiem wyłamując. Jest! Jest za paką do śmieci. Otarła go ukradkiem, ochuchła i niesie panu w obu rękach, a w oczy patrzy z przeprosinami za wielki grzech.

Pan wydarł go jej niecierpliwie z usługnych rąk i wyszedł, drzwiami trzasnąwszy tak głośno, że aż się młodszy chłopaczek rozślimaczył.

Wtedy się pani odwróciła, pana nieobecnego wspomniła i w dyrdy za nim do przedpokoju.

Sługa za nią, a dzieci drugimi schodami w nogi do szkoły.

— Lecze — woła pani — pan mi pieniędzy na dziś nie zostawił.

Poleciała, dopadła, mocno ją spsioczył, pieniądze dał, zziajana wraca i słucha, jak pani obiad wymyśla.

Słucha, na pamiętliwych palcach zagina wszystko i przepowiada. Pamięć się mnoży, rozwidla się z jed-

nego potoku na trzy, coraz cieńsze i niemrawe, bo już i słucha człowiek i kręci się, ze stołu zbierając.

Pod okiem pani zamiata. Skwapliwie, prawomysłnie w kątach a pod szafami, by słyszać było, że szczotka nie żartuje, lecz działa.

Z koszykiem na ramieniu leci na miasto.

Pokłócili się w jatkach z rzeźnikiem, bo się rozpychał, roztrącał, w krwawy pień toporem rąbał, kości jej chciał wetknąć niemiłosiernie dużo. Skoczyła między stragany i te obmokłe parasole przekupiek, rozpięte wysoko, niczym rydze z bruku wyrosłe, po włoszczyznę, marchew, śmietanę i co trzeba.

Ale wracała okrężną drogą. Aby przechodzić koło kościoła, przed którym mokła na deszczu miejska nędza, starość bezdomna i kalectwo niepokieszone. Tu staruszkowi upatrzonemu, co niby ten gospodarz z kościoła wygnany w świtce podartej na mrozie zębami szczekał, dała swój krwawy grosz.

W domu wir. Ledwo zrzuci chustkę, ledwie marchew oskrobie, mięso na rosół nastawi, ziemniaki obierze, nawet czarne oczka nie bardzo wylupując, ledwo tej kawiny pociągnie, usiadłszy na kuferku, nogami dyndając, stękliwie jedząca, a w szare niebo cicho zapatrzona, — gdy ją pani woła na pokoje.

Więc poduchy z łózek ściaga, kółdry strząsa, prześcieradła strzepuje, ściele i budowę pulchnych betów kapą zakrywa. Przyciera poduszkom rogów,

a potem jak w zad w białą poszewkę trzepnie, by się przystojnie wzdęła.

Zlewa co żywo pański brud, pańską potrzebę w naczyniu, wcale nie obrażona, bo zwyczajna jeszcze na wsi za bydłem sprzątać.

Już miało się ku obiadowi. Z wieźyczek wszystkich zadzwonili na południe, trąbka zagrała na ulicy, że widać jak codzień poszli żołnierze na swoją strażę.

Tu już i sługa nie wytrzymała w cierpliwości i z rąk marchwianych wszystko lecieć zaczęło. A jeszcze klusek niema. Wałkownicę prędko nożem zeskrobuje, na nią mąkę w śpiczasty pagórek sypie. Palcem pagórek przekłuwia i kręci, aż się z białego koliska, niby księża tonsura, pusty placek wyłania. Jajko wbiła, wodą podlewa i nożem zwolna rozrabia, tak że białych kudełków ciasta coraz przybywa. Więc w palcach ściśniętych nóż spłózi i pagórkiem dłoni ciasto wyrabia. Rozwałkowała, w paski złożyła, będzie ciąć.

Palce na cieście drobią, przed nożem uciekają, a on za niemi w trop siecze, czasem tylko ostrzem nabok wierzgnie, pokrajane kluseczki w stronę spędzając.

Obiad szczęśliwie wydała, a w kuchni teraz jak na pobojuwisku. Powszedy stoją tłuszczem okrzepłe talerze, noże, widelce i łyżki, a wszystko ślizkie i lepkie.

Garnek z odcedzoną włoszczyzną ustawiła na stole. Grzebie w kościach gorących, zatajony szpik wystukuje, zjada mięso, do gnatów pruzłami żył

przywarte, poprzerastane, jędrne, prężne jak guma. Przelknęła, wodą popiła i, fartuchem czoło otarszy, siedzi, aby wytchnąć.

Siedzi, dyszy błogo i myśli o tym statków myciu, o przepraniu pończoch dziecinnych, to jeszcze o znajomej. Ale białym, cichym skrzydełkiem drzemka coraz w te myśli wpada i rozgania je i miecie i strzępi na płatki białe i złote. Płatki się fastrygują w skrzydła bratnie i lecą za okrainy miasta.

Ale mus czuwa. Nieumyte widelce do oczu skaczą, białe talerze brudem napominają.

Już stoi sługa za cebrzykiem, w ciepłych pomyjach grzebie, paznokcie na śliskiej garnków polewie tępi, drze i traci. Pracuje i w świat odeszczony tęsknie spoziera przez mury i dachy do nieba, rzewnym głosem — wiatkiem strudzonych piersi przyśpiewując.

Wspomina dzieje minione. Te jesienne przy-mrozki, cukrem szronu do świata przypadłe, skrzyp studni wiejskich i tę właśnie piosnkę, co przez mgły płuży samotna, i to południe, gdy słońce jak pieniądź fałszywy mętным blaskiem ze stropu chmurnych niebiosów zezuje, i ten wieczór nizki, przyziemny, kiedy się dusza w śpiewaniu twardym i smutnym rozwarła. Rozwarta, — już się nie zawrze w zamknięty kielich, nie stuli, nie. Bo jako nieśmiertelnik nigdy nie uschnie, tako ona nie przeminie, głosem wysokim po polach myszkująca.

Posprzątała, poszorowała, teraz w nagrodę chudobą się swą nacieszy. Otwiera zielony kufer —

jabłkami z niego pachnie, jak z raj, i ściany obrazkami wyklejone.

Na samym wierzchu leży chustka do wyjścia — sam aksamit, czysta wełna.

Obok książka do modlenia. Dalej pudełko z broszkami. Dwie drużne ręce w kości wyrżnięte, bukietem róży owiązane, splecione na dozgonną przyjaźń. Gołąb lecący z listem w dzióbku. I najładniejsze: gwiazda z granatów.

Obok pudełka w bibułkę zawinięta leży książeczka służbowa. Okładkę ma sino-szarą, zmierzchniętą, jak ta dola ludzka u obcych, nie na swoim. Stronice otłuszczone, zmięte, niby te dnie służebne i miesiące. Tu właśnie wszywa się czarnym znakiem pańskich słów zasługa sługi. Że jest wierna, przywiązana, cicha i chętna, zdolna i posłuszna.

Będzie się modlić. Grubą książkę na podółku rozewrze, rozeźnie i ostrożnie palcem pierwszą literę słowa pokaże sobie. Pokaże, palcem podsadzi, jakby nim literę z karty niby ziarno ze strąka wyłuskwici miała. Litery już ma wybrane, cóż, kiedy stoją na osobności, każda się w swoją stronę siania, a zgodzić się w wyraz nie chcą, ani rusz. Litery się rozłazą, a Pan Jezus na chwałbę swoją niedoczekaną czeka, z obrazu patrzy.

Nie uradzi sługa czytaniem, a sama prosto przed oblicze boże niesie swe sprawy.

Udobruchany Chrystus ręce bieluchne do ucałowania jej daje (w myślach napół drzemających) i idzie z nią pocichu ścieżyną, naprzód łaskawie popycha, pośród jaśminów i lilji, — żwir gwiazd

malutkich pod stopami mu dzwoni. Idą se razem, to znów na ławce spoczywają. A dalej jakaś mgła kadzielna. Twarz jakaś patrzy, wąsiki się na niej poruszają. Ręce mężczyzny oplotły ją przez pól, po plecach głaszczą, tulą do piersi przyczystej, dźwiękiem dzwonu oddychającej. Tu się urwało, bo ją wstyd niespodziany dzielił między oczy...

Już po kolacji poszła do pani na rachunek.

Mięso, włoszczyzna — a za włoszczyzną już nic nie widać, jak na przegonie.

Ale! Marchew — kapusta — już chyba wszystko. Myśli, że wszystko stanęło na wezwaniu.

Każde swój koszt szczeblem wstawi. Słuszna drabinka z liczb się ukręci. A po drabince zejdzie na papier zgoda z tym, „co dostałaś, i z tym, coś wydała“.

Tymczasem nie! Coś się tam w trokach liczenia nie domyka, nie dopina, nie dociąga.

Łokieć jednej ręki w garści ukrzepiwszy, wznieiony palec drugiej na czatach w kącie ust postawiła i chce przypomnieć sobie — co jeszcze?

Myśli. A myśl się jej mnie, sennością przytłumiona. To się znów strzępi, rozpycha, wzdyma, jak mętna bania. Tą chęcią wytężoną, jak ręką rozgrzowaną, łapie i maca sługa w ciemnościach niepamiętania.

Zamiast płakać, pamiętać trzeba — mówi pani. Jej ręka wynosi się miękkim przegubem. Sługa całuje i dobrej nocy łasce pańskiej użyczywszy, idzie spać.

Zrzuca te szatki, naśmierdłe wszelakim zapachem

jadła i swądu. Cienki batożek z włosów zaplata i klęka do modlitwy. Klęknięta, ręce złożyła. Już to źródółko modlitewne kroplami słów bije i kłuczy, jeno przez te słowa prośbne sypią się ciągiem zapodziały grosze. Cień nieodgadnionego sprawunku ze słowa na słowo hycą, wszystkich dosiada, wszystkie dojeżdża i z drogi zwodzi.

Przyległa do poduszki, a jeszcze słuchem wierność, wraz z centami zapodzianą nieszczęśliwie — wysłedzić chce.

Nie słyhać śladów wierności nadwężonej. Jeno za piecem grzebią się karaluchy. Spłakany oczom cała ściana zdaje się ruszać i rozłazić, jak robaczywy ser. Chyba sama troska z człowieka promieniuje, w ściany uderza i lezie, w rój karakonów przemieniona.

Już szary odmet skleja sprzęty i statki. Tylko sterczy jeszcze z głębiny wyraźnie ku łożu zwrócone białe kolano pieca. Zbliży się, wznosi, trwa na wyżynie, a potem zwolna pada na piersi dławiającym tłokiem ucisku.

RZEŹNIK.

Z drzew, kwitnących za parkanem, wiatr zrywał raz po raz białe, wonne pierze listków i posypywał niemi brukowisko rzeźni, w blaskach słonecznych lśniące, niby ułożone z ogromnych rubinów.

Rzeźnik cisnął papierosa, który z sykiem zagasł w krwawym błocie, obrócił się na pięcie i wszedł pod ciemny strop budowy. W tej otchłani świeżego mięsa, zionącej słodkawym trupim wyziewem, chłodno było, jak w grocie. Gęsty zapach rozdymał nozdrza, napełniał płuca, sadowił się gdzieś pod sercem i zwolna dusił je nieposkromioną czczością.

Słyszeć tu było bez przerwy wilgoć krwi. Ściekała między kamienie wązkami strugami z odciętych już łbów zwierząt, krasną bańką bulgotała w obrzękłych wargach. Cicho, różańcem powolnych kropel sączyła się przez uszy i rozerwane chrapy. Z tułowiów, zawieszonych u stropu, płynęła wzdłuż ku szyjom, a stąd po przepiłowanych karkach wzdłuż na podłogę.

Ślizko było. Ślizkość tę zwiększały wdwójnasób niepouprzątane jelita.

Głosy ludzkie, mlaszczące w czerwonym błocie kroki, oślizgły plusk rzucanych na wsze strony

wnętrznosci, nawet zgiełkliwy śmiech wsiąkał i ginął w ustawicznym ciurkaniu krwi.

Wysoko w kątach krwawej powały tkwiły ostre zęby kół śrubowych, haki, rozwidlone ćwieki i kłęby żelaznych sznurów. Supły, węzły i skręty żelastwa, zatracone w rudym mroku, zrastały się w sturamienny spłot macek i żądał drapieżnych.

Nie było widać ścian izby, a raczej krwawe mięso, wiszące u góry i dokoła, zdało się ścianą i sufitem, porzniętym ciemnymi rysami. Tam właśnie, głęboko w rozpadlinach ścierwa, czarną nicią ruchliwego zajadu żerowały muchy.

Z pod krzepnącej posoki nie było widać kamieni. Podłoga miała pozór grząskiego bajora, na którego powierzchni — straszliwe muchomory, wodorosty, glisty i ropuchy — unosiły się wyrwane trzewia zwierząt.

Napół obnażeni ludzie, jak wielkie, białoróżowe czerwce, uwijające się w ogromie tej mięsnej gardzieli, — patroszyli zaciekle rozwarte kadłuby zwierząt.

Nie ustawał ani na chwilę zgrzytliwy świst nożów, ostrzonych na długich śpikulcach i żelaznych osekach. Spłóził się po żelastwie zygzakami stalowego zgrzytu, a złączony z posmerem krwi, przechodził w lepki, sprośny śmiech.

Plaskanie mokrych szmat, któremi oklepywano dymiące ciała zwierząt, zwarty chrzęst zdzieranej skóry, suchy trzask piłowanych kości mieszał się ustawicznie z beczaniem bydła, uwiązanego przy sąsiednich wrotach. Hałas i rumor wołów nikł co

chwila w wartkim przeraźliwym kwiku świń, który wytryskał z sąsiednich baraków i świdrującym tokiem pogłosu przewiercał powietrze.

Rozległy się ciężkie, miarowe, dokładne kroki. Obok nich żmudne dreptanie. Wszedł człowiek, ciągnący sznur. Za nim wpadł wielki, rogaty cień. Siną tjarą przepełnił po czerwonym wnętrzu szopy i wsiąkł w powałę. W drzwiach ukazało się białe, ciche, poważne bydlę...

Rzeźnik podciągnął portki wysoko w pasie, odwinął rękawy. Szczeliną przednich zębów splunął sykliwie. W głęboką twardą garść ujął drzewce obucha i czekał.

Zaskrzeczały koła i śruby przy suficie. Suchy krąg żelaziwa wiercił się, kracząc miarowo. Charczącym rechotem zawarczało żelazne jądro. Po chwili, jak straszny, ciągnący się śluz, zwisły ku ziemi dwie długie, krwią zbroczone liny. Założono je bydlęciu na nogi, wedle łba, bardzo zmyślnie. Tak, że musiało stać bez ruchu, owiązane prężnym sznurem, niby samym nerwem czarnej zdrady.

Załaskotały noże, ostrzone na długich osekach.

Ktoś strącił na ziemię wielką miedzianą misę. Tępy bełkotem zahuczała na bruku.

Człowiek z wązkim białym nożem w grubych szerokich wargach pociągnął zwierzę za rogi ku światłu.

Tu rzeźnik pojętną dłonią wyczuł ciepłe miejsce na czołowej kości, zapamiętał je okiem i odstąpił na dalekość rozmachu ręki.

Ludzie spojrzeli po sobie.

Oburącz ujął drzewce, zakończone tępym żelaznym kłosem. Mocarnymi guzami dłoni ścisnął je. Przywarł doń potężną wnąką swych pięści. Uniósł w górę poza siebie. Kopiąc daleko gęste skrzepy błota, przetarł stopami brukowisko i pewną nogą utwierdził się na nim. Teraz już czekał na przychylną pozycję ofiary.

Stopniowo gotował się w nim zapal ostrej, błyskawicznej chęci. Coś szło, niby jakieś wybuchowe tchnienie, z miejsca na miejsce. War szumił pod czaszką. Zdawało się, że serce nie bije w piersi, a nawrotami szczeka, ujada. Niecierpliwość, jak gryzący świerzb, oblaża całe ciało.

Głowę zwierzęcia przechylano coraz wyżej, póki łeb nie stanął w jednej prawie linii z karkiem. Duże, ufające oczy wołu z bezbrzeżnym spokojem patrzyły teraz w górę.

Oczy rzeźnika, znaczące śmiertelny cios na środku ufego łba, zwęziły się straszliwie. Zdumienie mignęło w nich i zazdrość. — Że to bydlę tak bezkłopotliwie tu stoi, że pogodnie łypie oczyma. Że ogonem chce majdać i muchy zganiać.

Aż nagle ze szpar zwężonych wybłysły dwie cienkie, lodowate strzały.

Wielka, słodka litość zdjęła rzeźnika. Wraz z nią poczuł w mózgu zestrzepioną błyskawicę strasznego ciosu. A wtedy gniew białą gwiazdą przesłonił mu oczy, przeraźliwie zaświszczał w uszach. W tym oślepiającym błysku chwili zrozumiał rzeźnik, że okrutne cierpienie wołu świdruje jego własną czaszkę. Ciężar bólu strasznym znojem

sprężył kark człowieka. I wtedy, by zwalić z siebie ten ból przeraźliwy, nie do wytrzymania — wykonał.

Ramiona, zastygłe nad głową w stalowy klin, jednym susem skoczyły naprzód. Razem z piersi zwierzęcia i człowieka wyrwał się krótki zduszony świst. Wół zachwiał się. Jakby w wielkim smutku i żalości pochylił głowę. Ciężkie westchnienie rozparło mu nozdrza. Zmętniały oczy stanęły w słup.

Zahuczał drugi, głuchy raz. Grzbiet zwierzęcia zgął się. Nogi zadrżały. Wypreżony ogon trząść począł chwostem i chlastać.

Po raz trzeci potężnym uderzeniem, jak w mur, rąbnął obuch w czoło stworzenia. Jasny trzask wydarł się z czaszki. Zwierzę, niby zachwiana budowa, runęło. Oczy jak krwawe jaja zadygotały w orbitach. Z pyska potoczyła się czerwona piana. Drgające nogi wątlm, daremnym ruchem grzęzły w powietrzu.

Pod gardziel przystawiono misę, do której gorącym ruczajem chlusnęła krew.

Chłopcy, miarowo przysiadając, międlili pośladkami wzdęte boki wołu.

Nastała cisza. Słuchano uważnie płynnego szeptu w misie mosiężnej... Ten i ów spluwał. Ten i ów chrząkał, by zwilżyć wyschłe gardło.

Rzeźnik, odstąpiwszy wtył, ocierał drżącymi rękoma wilgotny obuch. Uspokoił się prawie całkiem. Tylko w skronie biła krew głośno, niby pięścią. Na ochłodę przełknął kawałek lodu.

Tymczasem rozpięte na sznurach cielsko przewalili oprawcy nawznak i z nożami w zaciśniętych zębach obsiedli. Olbrzymi tułów zarysował się czerwonymi szwami nacięcia. Brzuch jak kamizelę otwarto wpośrodku, obie poły waląc na strony. Znów pokwapiły się noże, prując przeponę. Mocny, ciepły smród wyłonił się z czeluści. W rozwartym żywocie, jak w garze, gospodarzyć jęły skrzętne ręce. Sprawny czeladnik wywlekał długie jelita, serce, wyważył ogromny żołądek, jedno za drugim przesuwając po ślizkiej podłodze na drugi koniec szopy. Białą utapraną we krwi skórę kopnął ktoś aż na próg. Stąd wziął ją chłopiec-pomocnik i niby ciężką moką guńkę zawrotem zwałił na wóz.

Zdzierać zaczęli błony i zmywać śluz, lub tu i owdzie występującą jeszcze strugę krwi. Zawarczała piła na kości, zaszczekał tasak i siekiera. Na ludzi śmignął szronem żółty tłuszcz. Letnia, lepka gruda strzępów mięsa bryznęła dokoła.

Rzeźnik poszedł do nowej roboty. Znów badawczą, podstępną ręką zmacał wrażliwe miejsce cicho czekającego wołu. Znów ręce, zbrojne w straszliwy guz obucha, wyteżył do rzutu.

Czy że ludzie nieskładnie do dzieła się wzięli, czy że zwierzę zamach młota dostrzegło, dość że cios wymierzony celu nie dopiął, a całą siłą łupnął w bruk. Wszczął się tumult i gonitwa. Pysk wołu, kółkiem za nozdrza przyśrubowany do kamienia, nurzał się i dławił w krwawym błocie. Spiętrzone cielsko to w tę to w ową stronę biegło półkołem.

Twardy ogon siekącym chwostem prał ludzi, którzy gięli się w skokach, chcąc poskromić strwożone bydło.

Już trzymają. Już czarną grudą przyłgnęli do krzyża. Jak rozbity bęben dudni rozparty brzuch wołu. Okute obcasy wpadają weń, jak w ciepły piernat.

Nad głową rzeźnika sterczy młot, gotów do skoku. Oczy zwężone pośredkują chytrze miejsce kłęski. Krew wali w skroniach. Niby słyszy to uderzenie, co za chwilę z rąk runąć ma. Słyszy je. Nim obuch żelazny skoczy, ona sama obuchem w skronie tłucze.

Zwierz się szamota, chrapy na kolcach strzępi. A w piersiach rzeźnika strasznym ukropem wzbiera cierpliwość. Uderzyć musi, by ulżyć skroniom. Uderzyć jak najprędzej i pierś wyzwolić. I myśl wyzwolić, bo w myśli ciosu zatrzymać nie zdolen.

Nareszcie! Czoło jak półmisek wyciąga się pod młot. Oczy je biorą spojrzeniem, jak w obcęg. Gnie się postać. Obuch zwisa skosem wtył. W rozmachu naodlew trzaśnie.

Szalony rwetes krwi w oczach. W ramieniu prężność piorunowa. Leci cios. Jak głąz z wysoka na murawę ciśnięty — dudni.

Niekształtnym bałwanem napłask zważyło się zwierzę o ziem.

W wielkim gorącu ciała odstał rzeźnik. Bolesny wstrząs huczał mu w głowie. Choć zapal rzutu dogasał, to jednak po całym ciele szły jeszcze skore iskry wzruszenia.

Tylko co zabitego wołu powlekli ludzie, umiatając ciężkim trupem świeże kałuże krwi i białawe błoto wyprysniętego mózgu.

Trwało długo...

Tymczasem blask nieba mącić się począł i gęstnieć. Cienie obok kwitnących drzew wydłużyły się i splotem sinych, grubych pręgów wpadły do rzeźni.

Rzeźnik cisnął w kąt obuch i przeszedł do sąsiednich jatek, gdzie czekali na niego z cielętami. Niewielka to już była robota. Cielątko se ustawił raz dwa, ciche, spokojne. Tylną nogę okręcił pętlą. Przekręcił koło ze sznurem, aż cielak na tej nodze zadyndał. Poderżnęło się grdykę. Krew razem z krwawymi łzami fontanną zabrzdąkała w misie i już po wszystkim.

Szło prędko...

Czas, w tej pracowni na bezmiłosierdzie zamieniony, szedł, nie kulejąc.

Aż nagle ciszę niebios przespikowały twarde gwizdy fabrycznych kominów. Wrzaskiem i wyciem zwała się na miasto godzina odpoczynku.

Napęczniałe od pracy i krwi ręce przemysł sobie rzeźnik co nieco, zaćmił papierosa i wyszedł z cuchnącej budy na podwórze.

Słońce, jak to krwią ociekające ślepie cielęce, zrumienionym blaskiem łyskało przed się w rudą kurzawę miasta. Niebo, ubabrane płomienistą posoką zachodu, wisiało nad światem, rzekłbyś — rozdarty ochłap ścierwa.

Powietrze drżało, trzęsło się niby gęsty dym stygnących zwłok.

Przeciągnął rzeźnik zmachane członki i ruszył ku miastu. W czerwonych łunach zachodu zdało mu się, że dowodnie widzi krew. Ciężka jest.

Rzeką żygnęła z rzeźni. Morzem wylała się na cały świat.

On ci ją toczy, ofiarnik. A pospołu on również i ofiara w białym, spasionym ręku tych, którzy go wynajęli.

Ejże, nieroby — zaświtało mu w głowie — ejże, najemce gnuśne, żeby też was ofiara na rogach gniewu nie rozniosła!

Wysoko u granicy widnokręgów potworny gruczoł chmur puchł i olbrzymiał. Krwawe mroki chłyneły na ziemię i na miasto, zębatą zuchwą kamiennych wyniosłości wśród nagich pól sterczące.

Zdało się, że się z chmur ulewa czarny obuch. Że lada chwila w piorunowym skoku skruszy wyniosłą zuchwę miasta. Że lada chwila zmiażdży oblicze krwawej ziemi ciosem zagłady.

ROZNOSICIELKA DZIENNIKÓW.

Deszcz się niósł skosem, bluzgał i chlapał w rynny, w ścieki charkał i pluł, szronem czy wilgłym żwirem w oczy sypiąc. Wysoko nad blaskiem latarni i jeszcze wyżej nad domami, oświetlonemi płonąca żrenicą lamp, przeciągał się i bujał, niby drżąca chmura komarów. Zaś przez ten deszcz, gęstą łąką wilgoci między niebem a ziemią rozesłany, przewijały się chyżą taśmą oberwane, wystrzępione płaty śniegu.

Ów deszcz i śnieg brał wiatr na błony zimnych skrzydeł i miótł i pędził i w trąbę skręcał i kotłował.

Zdało się, że nad całym miastem nie smugi wichru w dal się rwa, nie chłodu i mrozu nurt czarną nocą przeciąga, a że oto gdzieś wyżej nad domami, zaplątawszy się między wieże kościołów i gnaty kominów fabrycznych, ugrzązł straszliwy, ogromny gacek. Po ulicach lotkami trzepoce, na placach zimne błony szarpie, prostuje do lotu, spręża, rozpręża i czarnych skrzydeł wśród ulic zmieścić nie może i na skrętach, przecznicach o kanty domów ze świstem je łamie, pruje i drze.

A skręcone taśmy śniegu, a podarte szmaty deszczu kłębią się i burzą, to się wznoszą, to spadają, to całą ulicę przyziemnym lotem tną.

Po wsiach usnęli ludzie w izbach na głucho zawalonych. Tylko zimowa noc tym wichrem nad wsiami jęczy, tylko mrok omamem strachu ścieżki owiewa. Wichur w kominach jęczy i wyje, mrok za oknami waruje... Ale się przecie wichur przez strzechę do izby nie wedrze, ale się przecie mrok przez małe szybki do izby nie przewlecze...

Nie to w mieście. Tu ludzie, włożeni w dyby pośpiesznego musu, czy deszcz, czy słońce, czy pogoda, czy noc, czy słońce, lecą i śpieszą. Śnieg się z czarnego nieba białą rozwianą kosą topielicy wyczesuje, deszcz śrutem pada, wiatr się połamanymi skrzydłami oszalałego ptaka w ciasnych ulicach miota. A miasto, niby ta pierś człowieka, nigdy przed dolą—niedolą nieobronna, niby ten wrzód, rozgrzebany i nigdy nie zagojony — leży, świetlistą raną na czarnych dalach nocy rozpostarte.

Ludzie w nim śpieszą, krążą, dążą...

Tramwaje, jak płomieniste gąsienice, wloką się jeden za drugim, tam i sam, na skrętach we mgle dzwonią, rzekłbyś wystraszone serca, zdrożone dusze dzwonią w nich. Karety się płaczą na wsze strony, a koni w błocie nie słyszą, ni kół, gumą powleczone. Zdaje się, nie karety a zapóźnione karawany cicho i trwożnie mkną. Zaś w nich, bez trumien, odświeżone odziane, we frakach i sukniach, w stroju i w blasku, o twarzach białych i nieruchomych trupy ludzkie gnają i pędzą, szukając trumien. To znów mimo ciżbę ludzką przepychają się samochody, te ciężkie chrząszcze miasta, upłatane

w ostry smród, siejące na boki kleistą grudę błota z pod kół, przylepłych do bruku. Raz wraz rozpryskuje się tłum, pojazdom drogę dając. A gdy te miną, na nowo powleka i zaciąga się brudna droga czarnym mrowiem śpieszących ludzi.

Z ulicy w ulicę i do placu, z placu na plac i z miejsca na miejsce wedle czarnego zwał domów ciągną się równo sznury latarnianych świateł, — te szkliste ły, co noc z domów niedoli miejskiej płynące. Rzędy tych świateł płyną, w gwiazdy się wiążą i znów rozwiązują i znów się płaczą, a wiatr je prochem wilgoci zasypuje, kurzem kominów mąci i trawi popiołem spalenizny.

Wśród tego miasta, wieczorem, wyszedłszy z przedmieścia, z wąskich, niby głodem ściśniętych ulic, biegła kobieta, szła, biegnąc i śpiesząc, myśl bolejącą w sobie wążąc.

W domu zostały dzieci. A te własne dzieci nie dziećmi się jej zdały ludzkiemi, lecz gromadą piskląt jaskółczych, piskląt, głodem i chłodem spędzonych w jedną gromadę. A ta gromada zdała się jej jednym ciałem zziębniętym o kilku bladych ustach rozwartych, o ustach głodnych.

Och, ty, jaskółko, ulubienico, co latasz między niebem a ziemią, latasz śmigle i śpiesznie, lekka, dorodna, cóż ci to znaczy wyżywić twe pisklęta! Nie to, co człowiekowi.

Bo człowiek, choć mu się robota w ręku pali, choć mu się od łapczywego pośpiechu troi i mąci, bo człowiek, choć mu się nogi od biegu gną osłabłe, choć piersi oddechem tak dążą, że aż wy-

dążyć nie mogą, choć mu skronie tętnami młotów biją, choć się w nim serce tłucze pośpieszne, niby ten dzwon na pożar — bo człowiek, choć pada, nie wydaża i doli swej wydolić nie zdoła...

Zdoła, czy nie, a ty się śpiesz — myślała roznosicielka — śpiesz się i zwijaj, bo nikt na ciebie nie zaczeka, a pierwszy umknie ci zarobek, że go potem nie dogonisz, nie złapiesz, ani za rogatkami, ani za dziesiątą wodą.

Przybiegła jeszcze w samą porę. W poczekalni, na ławach, około ścian, siedziały jej koleżanki młodsze i starsze, spracowanymi rękoma zaciągające szerokie chustki na piersi. Zamieniły między sobą to i tamto słowo zmartwienia i utysku, jedna z drugą podzieliła się tym smutnym ułamkiem krzepiącego uśmiechu, podzieliły się wzajem tym westchnieniem, w trudzie zmęczonej duszy wytehnionym, — gdy drzwi od drukarni rozwarły. Ruszyły kobiety jedna za drugą. W szerokie, mocne fartuchy dostała każda umówioną liczbę numerów gazety do roznoszenia.

Przewiązały chustę przez piersi, kto jakim skrawkiem mógł, takim głowę matulił, i hajda, w drogę.

Z nieba, jak z przetaka, na głowę się leje — czymże to głowę okryć. Chustka, krzyżem ciepła te niewyczerpane piersi nędzarki grzejąca, niby pomaga, a przecie wilgoć włóknami chłodu po ciele spływa i ziębi, studzi i mrozi, jakże zaradzić. Buciska się już dawno rozgrajały, ochłapem wystrzępionej skóry po bruku mlaszczą.

Zwidziało się roznosicielce biegnącej, że to światło,

co się na chodniku w brudach błota przewija i przetyka, to nie światło, a blask nożów skośnych, pod nogami grających. Biegła dalej pośpiesznie, długo i zdało się jej, że to światło, co się w brudach błota przewija, to nie blask nożów, a one same, noże ostre, okrutne, po których ubogi człowiek, w miasto idący, stąpa, kaleczy się, na których wreszcie swe stopy rozplatać musi.

Prawdziwie — myślała kobieta — po nożach srogich i krwawych bieżysz tu, nędzarzu, noże ku tobie ten bruk miejski szczyrzy.

Zawsze miała ten strach, że się spóźni i nie zdąży w dół miasta do agencji z dziennikami na sprzedaż uliczną. Wpadała po kolei od domu do domu, z sieni do sieni, ode drzwi do drzwi. Czepiając się poręczy, obiegała wysokie, ciche klatki schodowe, co chwilę przystając w utrudzeniu. Wtedy słuch wyteżony chwycił takt głośno bijącego serca. Więc już nie folgując sobie, szła dalej, bo strach ją brał, czy serce nie bije za głośno, czy go nie usłyszą ludzie przez drzwi w wysokich swych pokojach.

W dziwnym zbiegu myśli zwidziało się jej, że te skrzynki do listów na drzwiach to nie co innego, tylko metalowe, zimne gęby nienajedzone. W te otwarte to szmatę papierową, ów ochłap zadrukowany, wcisniesz i lecisz dalej. Ale są inne, nieznośniejsze, zamknięte. Tym listwę, niby twardą wargę, podważyć musisz, człowieku, a śpiesz się! Zmarzniete palce na tej żelaznej wardze tną ci się i siniaczą, toboł gazet nuży cię i gnie. Ale trzymaj

jedną ręką tę zimną przykrywę, a drugą, niby kluskę w gardło tuczonoj gęsi — tkaj gazetę.

Zaś gdy poroznosiłeś wszystko, leć w dół miasta, chapnij twą rację gazet z agencji, niby ten żywy słup stań na skrzyżowaniu miejskich dróg i wołaj: „Gwiazda, Czas, Wieczór, Ostatnia Chwila!“.

Tak stojąc wpośród miejskiego gwaru, nieraz myślała, co też w tych gazetach stoi.

„Gwiazda, Czas, Dzień, Wieczór, Ostatnia Chwila“.

Chyba, że wicher wołanie jej z ust kradł i nabok znosił, bo ludzie ją mijali, nie przystając, nie kupując, jakoby nie słyszeli. Więc się zabrała z resztkami sił i tchu. Zapaska, papierem obciążona, cięła ją piłą przez biodra. Tedy ulżywszy se ciężaru, rękami podtrzymując, dalej krzyczała w dżdżyste, śniegiem zawieruszone cztery końce świata.

Gwiazda, Czas, Dzień, Wieczór, Ostatnia Chwila.

Śnieg cicho głąskał czarne dachy domów i, niby piórka pierza, po murach w wietrze pędził.

Umyśliła, coby było, gdyby ten śnieg naprawdę pierzem się stał. Zbierałaby go dzień i noc, uzbierałaby pełne skrzynie. Ten śnieżny puch zaszyłaby w kołdry i poduszki, w ciepłe posłanie złożyłaby swoje niebożęta.

Cóżeście się tak zagapili? — ktoś trącił ją. — Kupił u niej gazetę.

Co ta w tych gazetach stoi? — myślała. Literki jedne za drugimi, ładne, odpoczniete, w rząd ustawione, okrągłe i tłuste. Papier, niby makiem usypany. Ale przecie nie na sen go ludzie biorą—

a codzień, do czytania. Litery grzeczne schodzą się w słowa układne, a słowa w całe powiedzenia. Gazeta przemawia do ludzi, jak żywy człowiek. I ludzie czytają se te słowa, zgrabnym drukiem powiedziane, nie na to przecie mają gazetę, co ona— żeby papier wpoprzek złożyć, przez plecy i piersi przewinąć, aby od zimna chronił.

„Gwiazda, Czas, Dzień, Wieczór, Ostatnia Chwila“—woła dalej, przestępując z nogi na nogę.

Jak to tego druku znaki posiane są w papier, niby ziarenka!... Co ta z ciebie wyrośnie, ty, czarne ziarno, co z ciebie wyrasta na świecie, co?

Myśli się jej rozprzegły, sama nie wiedziała jak. Oczy zaś błędziły po placu i po wylotach pustych ulic, którei burzliwie latał śnieżny wiatr. Zdaleka, w głębi widoku, u szczytu wielkiego domu błyskał i znikał raz po raz jakiś napis, piszący się na czarnej głębi nieba świetlistemi literami.

Teraz spostrzegła, że na domach, na oknach, po murze, na drzwiach, wszędzie się wiją napisy, na sklepach, na tramwajach, na progach domów, wszędzie się plotą.

„Gwiazda, Czas, Dzień, Ostatnia Chwila!“ — Głos się jej oberwał nagle. Wołanie uwięzło w ustach. Jakaś myśl ciężka, ciężka jak ołów, utknęła w głowie. Ze wszystkich sił dała roznosicielka posłuch tej myśli. Zdało się kobiecie, że się w niej jakoweś ogromne czciony podnoszą, że się niby jakiś napis uwić, ukręcić pragnie. Czy się uwije?...

Po domach pełzną za dnia i w nocy czarne i białe i świecące i z samego światła ulane napisy.

Popisane są okna i drzwi i słupy miejskie. Tramwaje, wozy, wszystko. Ona sama, taki przecie nędzny byle-kto, nosi w zapasce tego nadrukowanego słowa, jak maku, całe garście, całe mrowie. Wszędzie druk, wszędzie napis.

A te jej stopy nieszczęsne, co uganiają i z trudem się wloką po błocie miasta, to dwa, wiecznym wyścigiem pokarane czcionki, co piszą, co odiskają w tym błocie jeden krótki napis: Głód!

Ale to, co ona stopami swemi wydrepta, zmiażdży zaraz, rozdusi i rozgniecie powóz, koń, samochód i człowiek dostatnio, twardo obuty.

Już poszli spać ci, co pisali, już śpią ci, którym pisane czytać się chciało. A ona waruje tu wciąż z korcem drukowanego słowa w fartuchu i czeka na spóźnionych. Całe miasto, cały świat tym drukiem do siebie gada. Cięgiem napisu, niby węzem, oplątuje się i w jedność wiąże. Napisy się wloką, niby kraciaste, zwinne jaszczurki z ulicy w ulicę przez okna, przez drzwi wysoko, aż na szczyty domów.

Tak to się jedni ludzie z drugimi wiążą; wiążą, a ona korzec drukowanego słowa w zapasce trzyma, z zapaski sieje i wysiewa, lecz gdzie w tym korcu choć jedno słowo prawdy o niej?

Bo gdyby o niej powiedzieli słowo prawdy, zawstydziliby się! Bo gdyby o jej dzieciach, siostrach i ojcach powiedzieli słowo prawdy—odmieniliby się.

Więc nie mówią! Więc kłamią!

Te nazwy pism, co je wołała przez całe dnie,

tygodnie, miesiące, teraz jakby ożyły w myśli i sprysnęły się złowrogo.

Jaka „Gwiazda“? Gdzie, komu świecąca?

Jaki „Czas“?

Co za „Dzień“? Czy ten dzień mitręgi i niedoli?

Czy ta „Ostatnia Chwila“, myślisz, że z chwili na chwilę życia człowieczego ostatnia, tak bardzo pełna trudu i wysiłku?

Roznosicielkę ci ludzie, śpiący w wysokich domach, omotać chcą tchnieniem druku, udusić pragną łańcuchami napisów.

Kłamią!

Prawdę-by im rzec chciała. Ten napis-by im cisnąć chciała na domy, ulice, ten napis powrozem przewlec przez wszystkie drzwi i okna, ten napis, który jej stopy, niby czciony, wydeptują dzień w dzień na bruku miejskim — napis: Głód!

Tak, jak ona, tak stoją jej dzieci i bracia i siostry po jednej stronie, a po drugiej tamci wiążą łańcuchy kłamliwych liter, by niemi prawdę bólu ludzkiego zdusić.

Żebyż się już zmówili w gromadę jej siostry, bracia, ojce, dzieci. Żebyż już tchnęli na miasto i w świat drukiem głośnym, wojennym i gwarą jasných słów prawdy.

Ona, roznosicielka, nie biegłaby wtedy, lecz rwała skokiem wiewiórki z piętra na piętro, niby iskra pożarna mknęłaby szybko od drzwi do drzwi, niosąc w zapasce chybkie mrowie słów prawdy i walne ziarno ludzkiego odnowienia.

WYCHODŹCA.

Oberwane wszystkie liście. Poharatane gałęzie.
Konary, rychło patrzeć, kiedy uschną. Pada drzewo.
Ptacy je pstrzą, deszcz omywa. Korzenie, w ziemię
wbite, sok ciągną jeszcze. Z ziemi-piersi nieprze-
branej ciągną po próżnicy.

A tyś, człowieku, zdrów i cały wyszarpnął się
z objęcia rodzinnego zagona. W latach młodości.
Wczesna biedronka, nie w lato lecisz, a w zimę.
A tyś się, człowieku, mocą całą w moc ziemi wroś-
nięty, wyrwał. Ojczystą grudę, proch i pył z odzieży
strząsaszesz, co żywo.

Niby ta woda z nadbitego dzbana, płyniesz
precz — aż dzban pustką zadudni. Niby ten tchórz,
bitwy rozjątrzonej odbiegasz precz — aż bitwa
klęską na ziemię runie. Niby ten złodziej, pracę
rozłożoną z pomocy twoich rąk okradasz. Gonisz
podstępną steczką wbok — aż się robota pleśnią
oblecze.

Otwierają się w piersiach bramy prawd, otwie-
rają się głosy wyrzutu.

Nie woda, nie tchórz, nie złodziej! Nieprawda!

Lecz nim rzekną, nim udowodnią, nim się opa-
trzą — zmiecie je srogi lament nad tą dolą pomy-
loną i oszukaną.

Dola ty jesteś ostra, krzemienna, nieużyta! Dolaś ty jest niesprawiedliwa. Tyś jest niedola!

Dolaś ty jest — ojczym, macocha, zbir i kat. Dolaś ty jest ten spletek, na ziemi ciężący. Spłata, za czyje grzechy, uznojoną krwawicą, za czyj fałsz?!

W twe łapy porwałaś i dusisz głodny brzuch. A w piersiach wydmuchałaś niezapełnioną pustkę. A pod żebra wbiłaś gwoździe ciągłego łaknienia. A w rękach zarodziłaś drzenie wysilne, a w nogach ciężar. Chlebem, dosytem kwitnie ziemia, aleś ty chleb i dosyt ukryła za pazuchą i karmisz popiołem, tulisz w ciernie i częstujesz chorobą.

Nie woda, nie tchórz, nie złodziej! — Ginące drzewo śmierć własną korzeniami z ziemi ssie, rany na słońcu zapieka, ginie niezaradne, kopnięte, łamie się. — Ale nie ty, człowieku... Gdyż w oczy ci spoziera, co żadnemu stworzeniu w oczy nie patrzyło. W oczy błyska mocniejsza od niebiańskich łyskawic groźba, gdyż ci z rąk zwartych wypada ostatnia na świecie utrata: ziemia.

Więc gdy do tego przychodzi, żeś u siebie na ziemi nie pan, nie gospodarz, a znajda, żeś mniej, niż ono drzewo, od wieków wrosłe, ledwie drzewa onego liść! Niesiony, goniony, żeniony wrażą słotą i zawieruchą. Że twój trud, mozół, pot i krew ku doli twej nie ma wracać, a ma innym ziemię ugnoić — nic ci nie zostaje, jak huknąć w siebie: za pozwoleniem!

Zajdy pakować. Ze szmatami pospołu wszystko cierpienie wtłamsić w podrózne troki. W zajdy powiązać wszystkie strachy, tęsknoty i cknienia. Że

się tu słońce ukaże i zgaśnie i znów i znów — bez ciebie. Że się tu roki i lata w powrósło zdarzeń sercu blizkich ukręca — bez ciebie. Że się tu moc zła nad niemocą braci twojej rozwichrzy — bez ciebie.

Żal... Za ciepłem roli, dość nigdy nie doznaym, za słońcem, wiatrem, deszczem, pogodą.

Wszystko w sobie węzłem niezmożonego hartu związać, w głąb zaryć, a rozegnać koło gonitwy. Gonitwy za odkupieniem.

Tak, tak, tak — kuje raz za razem ta moc żelazna, co niesie wychodźcę naprzód. Dygot, drzenie i szcęk zlewa się w hałas fali żelaznej. Jakieś światło przelewa się w niej i krąży. Łzy?...

Tak, tak, tak — świat wychodźcom odpowiada. Świat, ze snu nocnego rozbudzony, wie, gdzie prawda leży, wie dobrze. Rozgadała się czarna noc, spłoszona przelotem żelaznego węża.

Waż-ci to jest! Jelita ma podzielone na klatki i kojce. Połknął chmarę strapionej biedoty i ucieka z nią, pełźnie i sunie. Gdzie ucieka? Gdzie pełźnie?

Ślepia mu czerwienią nabiegły. Paszcza dymi, ogniem bucha. Widać pragnienie go trawi. Pędzi do morza. Pędzi do zrębu ziemi na kraj świata, nachlać się wody. Ludzi na skraju świata odda i wróci po nowych. Bo znów się nowi biorą. Jak ugór niewdzięczny kamienie, tak dola nieubłagana wciąż wyłania tych ludzi. Wąż ich unosi precz, aby tam, w domu, na widok spraw, o pomstę wołających, nie zawalił się strop nieba.

Tak, tak, tak — kuje raz za razem świat czarny, z nocnego snu rozbudzony.

Ejże, więc tak bez końca, bez wytchnienia i bez nadziei? Bez końca niepobudowany, niewykupiony, na gospodarstwie dziesięciu palców, które się wszczepić nie mają w co? Bez końca będzie ta bieda zła naród z krajów jego nieść we zmienne świata strony? Mimo, że naród złoto z obczyzny strugą na splety posyła, mimo, że tam marnieje, na mrozie wymiera, w upałach więdnę, w suszy schnie, w powodzi tonie? Bez końca, po ziemiach dzikich, do wiary niepodobnych, wśród ludów cudackich i krzewiny nieużytej?

Tak, tak, tak — kuje noc.

Noc twierdzi. Twierdzeniem, jako tym cepem, w bujny zagon młoci. Kłosa, kwiaty omłoca. Już sprąta troskę i sprąta wszystkie gorzkie żale. W grzbiet między łopatki leci pięść za pięścią, cios za ciosem, że głowa zwisająca dryga, jak kwiat skoszony.

Tak mnie to pędzisz precz — pyta ta ostatnia krzyna rozumu, w omroکہ zjawy uwikłana? Tak mnie to kułakami w świat wypychasz? Tak mnie to pięścią śpiesznego przewozu gościsz?

Tak, tak, tak — kuje noc.

Że gdzie głowę skłonię, gdzie legnę, spocznę — wszędzie cię spotkam? Że cała ziemia to nic, jeno pięść, w grzbiet waląca?

Tak, tak, tak...

Żachnęło się wszystko wierzenie, jakie ta kiedy w piersi tliło. Na poratunek zawołane leje ły,

słowami pachnącemi kadzi, śpiewem wstęgę uwija. Ale o niesprawiedliwości milczy. Dzwoni, kadzi, błyska, śpiewem — sianem się wykręca...

Sam to jestem? — wrzeszczy człowiek pytający.

Błogosławieni ubodzy — mówi wierzenie.

Czym? Tą pięścią? Tą pięścią, co w plecy wali?

Milczy wierzenie.

Tak, tak, tak — kuje noc.

Wychodźca, strasznym dreszczem potarty, ocknął się.

Co będzie? — Aha, juści jadą...

Napakowani — śledzie w beczce, ręce, nogi i głowy pomieszczone na kupie. Ze stropu łyśka małe światelko, po glansowanych deskach cieniutkiemi igłami się ślizga. Smutne, niemrawe, żółte, — zaduszne. Pali się, jak ten kaganek w dzień wszystkich świętych, czy gromnica za konających konających.

Snem są zmożeni wszyscy. Leżą — ciężkie trupy, we wspólny grób zwałone. Światło niedoli wiekuistej nad nimi świeci. A żeby wstydu w domu nie było, a żeby się pomsta z ciał nie wyległa — wielka drewniana trumna, wspólna trumna na wartkich kołach ucieka z kraju. W noc zwichrzoną, na zrab ziemi, potonąć w morzu...

Wychodźca ruszył się. Zaraz się ocknął ból wszystkich członków. Nogi obrzękłe, dawno nierozzute piekły. W grzbiet weszła długa bolesna ciągota i żadnym przeciąganiem z pleców jej wywlec nie sposób. Ręce, polepione brudem, błotem,

kwasem piwnym i tłuszcem kielbasy, brzydziły się samych siebie. Głowa ciężka, kamienna. Huśtały się w niej tłumy myśli pamiętliwych, — o tej ucieczce. Bo reszta w oćmę przepadła.

Ziemi nie popuszczę. — Oto, co się krzyżem cierpienia, piorunem siły nawspak wszystkich wspomnień położyło. Że odeszły. Nie nagabują. I nie wracają.

Ziemię jak matkę rodzoną obejmę. Oto — co się na przodku ostatnich celów pielgrzymich żarzy. U ostatnich celów. W święto powrotu. Jako to wróć, gdy tak wychodził? Jakożem to wychodził stąd?

Ranek ledwo tylko raz-drugi tchnął, gdy wychodźca z przytulonych do krzyża drożnego czworaków wykreślił się, na wóz zamówiony wskoczył, na wóz, z całą kompanją czekający. Pojechali tą polską chropowatą drogą, jak po tarku wyciągniętym.

Na tym tarczku krwawe zacierki trze z własnych pięt o kamienie płużyświat, głodomór, włóczykij, obieżysas nienachodzony.

Na wozie przepili luto. — Chałupy, jak te prawdziwki ze śmietany, łonią się i puczą z mgły. Na polach śnieżną krupą zalega czerstwy przymrozek. Jada, kłapiąc zębami. Zimno i wiatr portki targa i w łydy szczypie. Koniska drobia, ile tylko wydolą. Hej, hej, nie wiedzą konie, nie wiedzą!

Miedzy ziemie wjechali uprawione. Łany się ciągną, nito zapaski rozciągnięte. Nie usiedzie już człek na słodkim podołku tej ziemi, nie pości...

Ale sam ocet w gardle i ocet w oczach, gdy wóz mija znajomków, nad polem schylonych w pracy. Wykrzykują ci do tych. Wychodźca natrzącha się, kpi mocno, obiecuje im, że ich jeszcze sam potem w świat wywabi. Turkot kół wartkim hałasem przegryza głosów rozmowę. Ale się jeszcze ludzie wzajem widzą. Wychodźca ku nim z wozu machający, oni, co niby ule, pracowitości pełne, suną przy ziemi. Aż się z oczu stracili.

Po bokach płyną ziemie znane, jak ci ludzie, i płyną i płyną i płyną — nienapatrzone.

Słońce się wsparło u samej góry, bacznie świeci, podczas gdy wychodźcy koło karczmy obiadują. Butnie, mocno, głośno, dziarsko, że bez kija nie przystępuj. Czapy na bakier. Ślepie wyjaszczurzone to wódką się przesłaniają, to łzami. Ale gęba w gębę z trzaskiem strawę głoda.

Nagle słońce zakrywa sobie czoło złociste białą płachtą chmury. Chmura się tli, białe promienie ją obrębają. Ale nie strąca jej słońce z głowy promiennej, a owszem, więcej naciąga. Zgasło. Cicha żałoba dmuchnęła powszędzy nawskroś ziemi.

Wiatr się zerwał, między polami przycupnięty. Zieloną skibą śpiesznych zgibów popłynął ozimiami, w lasy się wdarł, z trzaskiem, stukiem i skowytem. Trąby kurzu wzniósł na gościńcach. Trąba się podniosła, wirując głosem wielkim, na drogach zaplątanych skoczyła domagać się gdzieś czegoś.

Wieczór zasypiał, noc się ścieliła, gdy wychodźcy dobrali się do lasu.

„Ociec“ nadgraniczny, łysy, chudy jak gwóźdź,

poprowadził ich mrokami w głąb. Szli cicho, potulnie, każdy z dobytkiem na plecach i z odpowiedzialnym kołem w garści.

Woda chlustała pod nogami. To się grunt rozstępował, to znów sklepił twardo, to wielkie bocheny kamienia ciskał pod nogi.

Tęskliwy wzrok nie uświadczył na niebie ani jednej gwiazdy. Pokryły się. Zamknęło niebo swe oczy jasne na te przeprawy ludzkie. Czarność leżała na niebiosach, jakby się wywróciły na lewą stronę, na stronę żałobnego kiru.

„Ociec“ im czuwać przykazał, charknął, na dwie strony wysmarkał się dokumentnie i znikł. Raz, drugi trzasnęły pod nim gałęzie i rozlał się w pustce nieprzeniknionej.

Ostali sami. Kilku legło, bo sen ich zmógł. Reszta czuwała. Ostali czuwający, jako ci apostołowie pańscy w godzinie przełomu. Wicher już był ucichł. Trwali w czarnej nocy, niby w toni głębokiej pogrążone topielce. Chrzest się wydobywał z cichej otchłani, z odwiecznego ludu drzew. Chrzest drzew, czy własnych uszu tętnienie...

Zjawił się ociec nadgraniczny i powiódł. Cichcem, chyłkiem, pokurczeni szli jeden za drugim gęsiego. Wreszcie ukazała się łysa polana. Syczący rozkaz starego gęby im pozamykał.

Woda ciamkała pod nogami. Brnęli głęboko po szyję, zostawiając za sobą łańcuch żywych ruchomych słupów, z których groźnie sterczały błyszczące kły karabinów.

Po tamtej stronie przyjęła ich znów nędza rozdrapanych pól i nędza ludzi chciwych, głodnych.

Rudy, kaprawy żyd zagonił ich do karczmy i zliczył. Pobrał pieniądze, dając wzamian różne karty i bilety.

Porwała ich szacherka w ślizkie łapy, oprzędła długim czasem postojów i przesiadań. Sypnęły się na ludzi nazwy po nazwach, kraje i miejscowości do przebycia. Jakies papiery fabrykować się jęły na prawo i lewo, a pieniądze wciąż supłać trzeba było z węzełków, z cholewy i z za pazuchy.

Przybyli do miasta polskiego, Krakowa. Ten na nich wejrzał smutnymi oknami starych, grzesznych pałaców. Jak mógł, pobłogosławił wysokim gołębnikiem wież.

Dziwno się tu zdało człowiekowi i straszno. Mgła, białą pleśnią mury pożerająca, wlokła się wszędzie po kamieniach. Cichy ogród krwawym wieńcem uwiadu wieńczył miasto całe. Ogród — nie ogród, bodaj że cmentarz. Gdyż co krok z pomiędzy drzew i krzewów sterczały kamienne nagrobki. Nie rozejrzawszy się nawet, niemotą mnogich nagrobków pożegnani szli na dworzec. Bo tu ich właśnie handlarska umowa zobowiązała.

Wielki smutek zaciężył nad narodem zgonionym, mimo że ten i ów krzepił się przy ładzie walną gorącością napitku. Jak do tego ścierwa wrony, zleciały się do nich gromady handlarzy z pamiątkami, upominkiem płatnym i sprzętem wszelakim.

Tymczasem drzwi huknęły na dwie strony. Gad,

już usłany na szynach, stał, sapiąc głośno. Cały tłum kupą wparł się w drzwi, niezaradny, nieobrotny, zajdami obarczony. Ale konduktory słowem i pięścią zrobili porządek, póki się wszystko do wozów nie wgramoliło.

Dym tytuniu przyćmił już i tak ciemne wnętrza wagonów. Jazgot bab, pisk dzieci i płacz zmieszał się ze stukiem kół.

Tak, tak, tak — przytakuja w nieskończoność.

W wagonach jedni śpiewali, drudzy wciąż jedli. Część pośpiła się, część oczami szeroko rozwartymi patrzyła na świat, deszczem pocięty i wtył uciekający.

Tak, tak, tak — gadają koła tyle razy, już tyle razy...

Aż znów wrył się pociąg w szklaną norę stacyjnego podjazdu. Ludzi z wagonów wygnano. Poszli i górą i dołem, zabłąkani wśród tysiąca napisów i rąk papierzanych, na wszystkie strony wskazujących. Żydek się im po drodze gdzieś zawierzył, że już nic nie wiedzieli, co, jak i dokąd.

Ktoś im znów drogę wskazał.

A wtedy jakby wiatr poderwał tę całą gromadę, poopieraną o kuferki, tłomoki i toboły. Zerwali się wszyscy na łapu-capu lecieć po schodach kamiennych w dół. W rozkręt dróg okręceni ciskali się naosłep. Znów wypadli na świat boży między krasne glisty szyn, między światła czerwone i zielone, bazyliiskowym okiem z góry pozierające.

Grube, watowane władze, o tym spojrzeniu, co je czarny daszek zamydla, skłęły ich. Inni goście,

porządnie ubrani, omijali pędzącą kupę wychodźców, niby to błoto. Z okien stacyjnych żygał na nich śmiech i politowanie. Mowa im uszy darła obca, żelazna.

Zbici w szarą gromadę, ławą pędzący z przewodu kamiennego w przewód, z miejsca na miejsce wiatrem ślepego pośpiechu gnani, w tej nocy, ostrością światła pokłutej — wyglądali, jak ta kupa przywiedłej plewy, czy perzu. Dziki wiatr porwał ją z granicy zagrabionych pól, uniósł w nieznane dalekości. Cudem weгнаł do kamiennego labiryntu i tu zaśmieca niemi obce głązy, tu niemi kamienie zasiewa, tu ich przeciera piachem obcego szlaku.

Podczas gonitwy spłoszonej, raz po raz z hukiem wodospadu wpadały na stację grzmiące pociągi. Ledwo zipnęły, gdy znów je trąbka budziła do dalszej drogi. Szklany dach drżał rozgłośnie, ziemia trzeszczała pod kołami, światła pokręcone to bladły, to ożywały, szyny to się nalewały krwawą czerwienią, to nikły w sinych cieniach żelaza.

Odnalazł się żydek. Bluznąwszy charkotliwym szwargotem, pognął ludzi gdzieś daleko, na szary koniec stacji.

Miasta się po drodze nadarzały, jak te żółwie ogromne, jasnością szyb i blach na czarnej ziemi rozesłane. I pola i ciche lasy, założone pięknie, niczym dworskie ogrody i składne wioski.

Dzień wstał i upadł i noc zaległa. I jeszcze dzień przewalił się wśród łoskotu. A teraz noc ostatnia, w której do końca chyli się sprawa i następuje przyjazd do morza samego.

Tak, tak, tak — kują rozpędzone koła. Odzywa się ku nim serce z wnętrza ludzkiego. Odzywa się zbolałe. Tęsknota je uderza, bodzie. Tęsknota serca w ziemię uderza, puka. Ziemia się rozstępuje. Każde uderzenie kół, — wszystko stukanie tęsknoty, — żłobi w tych ziemiach schody przestronne. Ze stopnia na stopień, ze schodu na schód spada pociąg w dół, niżej i niżej, na sam brzeg morza.

Zerwali się wszyscy na głos donośny.

Agenci ich, między siebie podzieliwszy, brudnych, czarnych, przeprowadzili poprzód do oględzin i kąpieli. Wstyd i sromota i gniew nic tu pomogły. Prawo takie — przedkładają. Tuś się już, człowieku, na dobrze rozstawał z ostatnim prochem ojczystym. Zajdy ci świństwem jakimś lekarskim pokropili i otoś w mieście nieznanym idący, zagapiony na cuda żałośnie a wielkie.

Tu ci się kościół ukazuje, obsyty dzierganą w kamieniu koronką. Tam wieża, jak dzida wielgachna, na wysokości zawrotnej ogromne krągłe oko złotego zegara przekłuwająca.

A nagle, gdy akurat mijasz w żelazie rozpartą osadę wieżycy, zegar krągły — złote oko przebite, ronić poczyną łzy niewidzialne, z cudnym rozgłosem na bruk lecące. Tak gra. — Za nim drugie, inne, że na całe miasto z wież szlochających lecą ciężkie, długie, odwieczne płacze śpiewów przesłodkich.

Zwęża się ulica, przecznice ją szarpia, zaułki skubią. Mury murów coraz bliższe. Kompanja idzie cierpliwie do końca drogi. Idzie strwożona a w so-

bie uparta, głucha na niezrozumiałe pyskowanie obcych ludzi.

Gdy wtym grunt się pod nogami urywa. Domy rozmiata coś na boki. Wszystkie szyny tramwajów załamują się, a przed oczami widać biały bezmiar, tak powietrzem wzdęty, tak niepodzielnie na przestrzeniach rozparty — że się pierś patrzących rozpięra szeroko, wyniośle, jak nigdy w życiu.

Idą naprzód.

Nizko od ich stóp aż do dalekiej wysokości nieba miałą się srebrne skiby z czarnymi płatami chmur. Nieobjęta, okiem niezrozumiana łuska gnie się, mlaszcze i pluszcze. To się statkuje, w wielkie żrenice zbiega, a żrenice te głębią bezdenną patrzą w niebo. To pęka i ścina się i zrasta w grude srebrnych blizn.

Morze.

Przyszedszy nad sam brzeg, zgięciem postaci oblepili żelazną balustradę. Patrzą w ten żywy bezmiar.

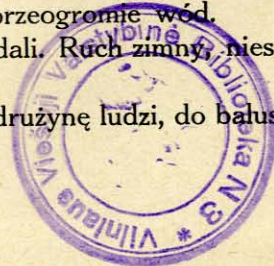
Wiatr po nim hula, karbuje siną pianę, z rozdołów wody pędzi plusk i lepkie jęki. Białe słońce topi się w odmęcie, promieniami bezpowrotnie przepada.

U dołu w ciemnej zatoce drą się w niebogłosey czarne kominy. Wielkie okręty, syrpaniem wody owite, chyboczą się leniwie. Łodzie, jak garście łupin, giną w ruchliwym przeogromie wód.

Zgroza wieje z tych dali. Ruch zimny, nieskończony.

Zgroza owiewa szarą drużynę ludzi, do balustrad

14097



przylepłych, co ją wir losów złych wałem perzu
zmiętego, kupą plewy wygnał aż tu z łąnów ro-
dzinnych precz.

Myśl się w gromadzie gnie, ze strachu łabuda
i nieskończonemu ruchowi dali przeciwstawia do-
czesną moc znikomego pyłu-człowieka. I mocy do-
czesnej postanowienie: Choćby morze łez przeje-
chać, choćby krocie blizn przetrzymać — lecz wró-
cić...

SZEWC.

Ocknął się szewc i przetarł oczy. Znow wszystko okazało mu się w wyraźnym, stanowczym świetle. Lampa, stojąca za wielką szklaną banią, pełną wody, rzuciła mocne światło na trzewik w podółku. Obok na stole długie i krótkie języki szewskich nożów, obcęgi, niby żelazne kokardy, płaskie i wypukłe łokcie młotków, skrawki skóry, chropawe ozory-pilniki, tępe bełty kulisów, raszpile, ostrym pytajnikiem wykręcone haki do kopyt, wreszcie kopyta, jak w jakiejś kostnicy martwe stopy, gęsto porozrzucone. Dalej słoje, słoiki z mazią, smołą, z woskiem, z całą tą lepką paćkaniną, którą szewc klei, łąta i kleci swą robotę. Wszystko to owiane popędliwym kurzem skóry i opilek, co sypie się wśród gwoździ, gwoździków, kołeczków po całym warsztacie.

Nim zaczął znow robotę, obejrzał najważniejsze narzędzia pracy — ręce. Na kciukach, w łopatkę wygiętych, na bokach palców twardemi sękami sterczały odciski. Tam i sam wyzierało wąskie czerwone oko rany, brzeżonej czarną rzęsą smoły.

Przemył więc ręce w odwarze z kory dębowej,

by twarde były i w ciężkiej pracy nieugięte, jak ten dąb.

Wziął trzewik, na wgłębienie między uda położył, przychwycił kostką własnych piersi, tą, co kręgi żeber rozprowadza, tedy mostkiem — i obłamkami szkła jął szlifować podeszew. Kolana sterczały wysoko, głowa się nisko ku robocie skłoniła, twarde łokcie rozpiętych w trójkąt ramion zawisły po bokach i puściła się w ruch ta spłaszczona maszyna. Grzbiet jak trzcina giał się, chwiał i tężył za ciężarem głowy, a siła szła z wewnętrznego źródła od dźwigni do dźwigni, z przekładni do przekładni. Z ramion w łokcie, z łokci w przeguby, z napiąstka do palców. Te zaś właśnie szkłem tarły podeszew.

Pył wiercił w nosie, łaskotał uszy, kłującym świadem zapychał kąty oczne. Odmuchiwał się szewc, jak mógł, od tej zarazy lotnej, skorej i wrażliwej. Potym trzewik za nos, jak rybę za pysk, krzepko ująwszy, odwracał i żłobił podeszew lekkim ozdobnym floresem — pożytku i trwałości wdzięcznym umajeniem. Wreszcie jakąś pół-łysą, zmizerowaną szczoteczką do zębów malował na czarno te białe grzanki-podeszwy, składając wykończone sztuki poodał w grzeczny rząd. Aby przeschrły.

Obrobił sprawę kulisem i rzucił się do ostatniego w tym dziele zadania, do tego, co koronuje każdą pracę. Co każdej ostatnim jest słowem: do blasku. By podeszew niezmaconą nowizną, nowizną bez skazy tchnęła, by w tym lśniącym udaniu straciła ulotny ślad trudu i męki. Więc trzewik, głęboko w trzewia wgłębiwszy, dwugłową mocą ko-

lan zmuszając go do bezruchu, pochwytnym wyprężeniem łądźwi jak w kleszcze wziął. Między palce w zaciśniętą pięść porwał gruby fatalach sukna. Tym suknem nuże jeździć po podeszwie. Zrazu opornie. Lecz coraz lżej i sprawniej i coraz posuwiściej. Aż szmata jak po lodzie po skórze śmiga, pięść bakiem świszczącym sunie, jak wściekła na powierzchni krąży.

Na przedramieniu żyły — grube basy, łokieć w skręcie-rozkęcie aż chrupie, mięśnie pęcznieją, ten tego w nawale wysiłku odętym brzuchem wypiera.

Aż nareszcie wir pracy całego szewca łapie w swą moc. On wprawo kręgi toczy, ona go wlewo rzutem odpycha. Drętowica, w karku usiadszy, postronki żył na czoło mu wysnuła. On dalej wprawo kułakiem opowitym, a ona osią wbiwszy obcas w żywot, jak na osi kręci człowieka przekornym kręgiem.

Już suchym łyskiem błyszczą podeszew. Na czole szewca pot lśni. Całe ciało na kopyto, jak na pal white, w pracy zajadłej, w srogiej zabawie rozpędu kół, co nigdy się zgonić nie mogą, wykręca się i dygocze.

Przestał, by wytchnąć, bo mu się zmąciły w oczach ściany izby i, w koło zrównane, powoli dopiero wracały w oczywiste kąty czworoboku.

Teraz wziął reparację. Z pospólstwa ułomnych butów najędźniejszy stanął na stole. Wyrwane miał ucho, język, wystrzępione oczka dziurek, na wylot przebitą podeszew i ściosany obcas. Trzewik

ten, wbity na prawidło, chorobliwie rozprostował się. Pozór tężyzny jeszcze bardziej odsłaniał całą jego mizerję.

Wziął się szewc do zrywania nieużytej podeszwy. Tym szewskim nożem, co, skórę krając, wraz ciałem kraczącego szczypie i przecina, wyskubał stare rozchwieutane gwoździki, zerwał podeszew i wypatroszył spróchniałą od potu podściółkę. Jadowity smród starej skóry i pył nieznanych dróg i fetor niewiadomych postoi pyłkim czadem wyłonił się z przegniłych fałdów buta. Trza było również zerwać pokłady obcasa, by wreszcie, niby parszywa gardziel, ukazał się w zestrzępionych zwitkach obrąb przyszwy. Zardzewiałe od wilgoci i potu gwoździe jak chore kły trzęsły się w kolisku dziur. Rdza przeszła w skórę, zmieniając ją w rozkisłe próchno.

Splunął szewc w garście, z motka wysnuł chudą kosciczkę konopianych nici i wichrowate skręcał w jędrny szpagat. Po skręconej dratwie, niby grąjek po smyku kalafonją — przewiodł wielokrotnie kawałem smoły. Wyciągnięta cięciwa zrumieniła się brunatną barwą, a pofolgowana, skrętem zerwanej struny upadła na podolek. W dwa rosochate końce wściбіł szewc dwa ostre żądła szczeciny i, otuliwszy, zwarł je przylepnie w konopianym warkoczu. Dratwa była gotowa.

Niby doktor przed operacją, zładził jeszcze to i tamto, a wszystko bardzo ważne, nieodzowne, bez którego ani weź. Zdartą podeszew okrył papierkiem i wzdłuż osmolonym palcem rozmiar wyznaczył. Tępymi nożycami, wolno, bo się papier

w twardych rękę oszukańczo przeginał — wyciął formę. Taka sama rada przypadła obcasowi w udziale. Wtedy skórę z wiadra z pod stołu wziął, bo zbić ją należało. Położył ją na cegle twardego kamienia, giętkim pierścieniem ręki otoczył drzewce młota i zaczął walić.

Coraz mocniej, straszliwie mocno. Ostatnia wilgoć z najskrytszych słoí, niby ostatni śmiertelny pot, występowała pod uderzeniem. Zaś młotek szybko-chybkó wahał się między głową i bitą skórą i głośnie przypadał twardym wybuchem: cha! cha! cha!

Teraz zgrabnie przymierzył szewc papier, by miejsca nie marnować i skóry nie trwonić. Więc wszystkimi sposobami, póki na małym błamie zgodnie, sprawiedliwie, krawędź koło krawędzi i bez niczyjzego uszczerbu stanęły obok siebie dwa obcasy i dwie podeszwy, uszczypliwym nożem dokładnie wykreślone. Tak wycięte, postawił gdzieś na widoku, by później w ferworze roboty dokonanego już dzieła nie szukać lekkomyślnie.

Wyrychtowana podściółka — ten liść pieszczony, całkowicie wklejona, dokładnie się złączyła z przyszwą.

Teraz więc musiała iść rzecz może najprzezorniejsza, każdego dzieła łączna roztropność, wszelkiej pracy słuszny zachód — brzegi. Wąską listwą randu oszyć należało przyszwę z podściółką.

Niecierpliwą dłonią wyszukał se szewc między rupieciami wnikliwie szydło. Zapobiegliwie dziabnął

nim w wydzióbany krążek mydła — i szydło gotowe czeka. Dratwę obejrzał.

Już ostre żądłka szczeciny w ustach na zawołanie trzyma.

Idzie robota. Na przewiady szydło się wciska — wylot sprawiło! Wilgocia ust ślizkie dążą w wykłuty ślad obie szczeciny. A potem ręce społem, dratwę na się motają i wskok!

Pędzą od siebie. U kresu dalszej niemożności, nabiegłe obrzękiem, jak przerażone, — na pętłach niby na strykach zwiśły. Przez mgnienie chwili. Bo właśnie nową skądś biorą siłę. Przypadły z powrotem na podolek, z sideł dratwy uciekają, zachnąwszy się wykrętnie. Znow na zwiady sunie szydło i zagiętym szponem sprawę przenika. I znow dwa żądła celnego porozumienia krzyżują się w wykłutym podkopie.

Ręce, łakome męki, w pośpiechu sękatych palców wloką co żywo na ranny padół dłoni tę uprząż konopianą. I przerażone pędzą od siebie precz, do kresu dalszej niemożności. I znow zdławione uściskiem padają w dół.

Robota idzie coraz raźniej, kopyto coraz głębiej wgłębia się w pierś. Pociągł, szewskiego trybu ścięgno najważniejsze, pręży się i kalikuje przy organie płuc, z których mus nieugięty wydiera muzykę wartkiego świstu. Sine, czarnawe ścięgna i żyły rąk wiążą się z dratwą w jeden splot. Przez zamknięte dłonie nie dratwa, a zwarty potok czarnej juchy się sączy! Nie dratwa, a nie płynnej smoły przez ręce płynie! Własnych rąk

żyły i ścięgna wszywają się równym oplotem w podeszew! Wraz z dratwą, one same rzemiosła dratw najistotniejsza, krwawym żywopłotem pracy — but miedzą.

Teraz obrócił kopyto nosem ku piersi. Pociągłem je przytroczył, by warstwami spiętrzyć obcas. W usta wetknął se gwoździki, by były na podorędziu. Zagadał, zatańczył młotek na kopycie, póki wykończonego obcasa nie otoczył ochronnie i krzepko równy rząd złotych gwoździków. Odnowa zaczęła się ta dygotliwa, termosząca mordownia raszpilem i kulisem. Bo obcasowi nieprzejednaną zwartość nadać wypadało.

Czas szedł.

Noc w blaskach rozblaskach niepewnych słaniać się jęła na świecie, a szewc, schylony na niskim zydlu, niby krasnoludek, czy karzeł, złym duchem opętany, harował w pocie czoła z głową, przy kolanach trwającą. Im bardziej zbliżniał otwarte rany butów, tym w miarę roboty częściej otwierała się ta lub owa rana dłoni. Rana lub blizna, — ręki pracującej pamięć i wspomnienie.

Na tej drodze traciły palce zwolna swą nieporównaną, skrzętną pieczołowitość w pracy. Chciały uciec, oswobodzić się od samych siebie. Aż ręce stały się kajdanami, w których uwięziony jest ból.

Praca stawiała coraz większy opór. Tu kopyto zasiadło w bucie i wybić go nie można w żaden sposób, tu znow broniąca kopystka nie mogła ściąć i wyplewić czubków gwoździ, sterczących

gdzieś w kącie. Młotek jak pijany wywalał się z rąk, raszpili kłoda ciężły.

Doświadczył szewc ostatniego doświadczenia. Jakowaś niemoc kamiennym bezwładem zaciężyła pod kolanami. Krzyż wygięty — to garb, nagrobek, kurhan, pod którym legło serce bezsilne. To serce raz po raz ktoś bije, czy ono się samo uderza o drąg nieugięty. Ten drąg wlecze się pod kolanami i wzwyż opuszczonych łokci. Krępuje wszystkie członki i skula je i skuwa. Nad całą postacią, przez pracę w kij związaną, czuwa resztkami przytomności pół-senna głowa.

Nie człowiek a warsztat związany naprzeciw martwego warsztatu siedzi. Chciałyby ramiona szprychą zalatać, nadal klepiskiem nadarzyć się chcą kolana, ręce, klejem w pletwę zlepione, gramolą się z ulepku. Ale pod kolanami i wzwyż łokci drąg się rozpanoszył. W kij niemocy związawszy, nie puszcza człeka.

Przedwstępna chwila snu rozplątuje nakoniec omdlałe członki. Głowa kłoni się na stół. Wśród kołków, szpilek i gwoździ spoczywa, jak w otoczu cierniowej.

Lecz praca wyrzutem sumienia staje się i kusi wciąż. Widzi się szewcowi mrowie obuwia, kroczącego po białej drodze pstrokatym tłumem. Tańczą płytkie lakiery, obok nich spacerowym krokiem dążą żółte trzewiki w pokrowcach, damskie pantofle płasem się plemią. Rozgłos nowego obuwia łączy się z nieskromną czkawką zdartych trzewików. Daleko z końca leci żelazny brzęk podkó-

wek. Leci szparki hałas chłopskich i tupot robotniczych butów, co ziemi synowską pieczę niosą.

Tłumnie, ciżbą idą do szewca, przed świętem po poradę. A on, nad dobrem ludzkiej stopy ręce tracący, on, co sobie w piersi niezliczonym mrowiem obcasów grób wykopuje, on, co ciąg całego swego życia w pociąg nieodmiennej pracy ściągnął, otwiera im drzwi i miłosierną pracą je darzy i własnym zdrowiem ratuje. Uleczone odchodzą prędko, lekko, nie czując pracy, która cetnarami siły w nich się zawarła.

Świt już szedł. Niewypowiedzianą radością różowił się daleki zrab nieba.

A półprzytomnemu szewcowi się zdało, że jasnowidząca orędowniczka pracy nocnej — lampa, przedzierzgnęła się w zlocistą jutrenkę i gości na jego ciasnym stole. Że to właśnie ona śle zorzę, która ziemię ze snu budzi, gasi przymus gwiazd stróżujących i rozwiązuje samą drogę mleczną — ten srebrny pociąg, co światy wiąże.

ŚMIECIARKA.



Szary mrok pochylił nad miastem beznadzieję swych lic. Jasności jeszcze niema. Dopiero wszędzie. Godzina jest trudna, żmudna, załamana. Połową tkwi w czarnych jeziorach nocy, połową wyrywa się, wydziera się na trakty dnia. Cisza przelewa się w chwiejnych wnętrzach godziny.

Śmiech rozpusty zagaśł do szczętu, wsiąkł w sprężyny puch płatnego kazirodztwa. Najedzony kieros, opasły paciuk sponiewierał się do syta i ciszy wrzaskiem nie bruździ.

Nie wstaje jeszcze praca z łoża twardego. Wypoczywa. Jeszcze się nie zaczęło to łoskotanie, którym codzienny obowiązek szczypie i ze snu wybija serce rzesz pracowitych. Rzesze śpią, ukryte w taniach, wilgotnych klatkach przedmieścia.

Ulice szklistą, ciemną taflą zamarzłej gnojówki toczą się między szeregami domów puste i ciche. Żelazna powieka zakrywa wystawy sklepów. Na drzwiach spoistych, niby czarny pępek, wkląka głęboko wciągnięty zamek. Stragany puste, tylko się w nich gzą stare szczury, wyjadacze smakowitego brudu kanałów. Kościoły milczą, rozwalone na pustych placach, jak szare i czarne trupy wron, kruków i puhaczy, co z nieba gęstego spadły na bruk

i zastygły z łapami, z gwiazdą śmigłych pazurów, w niebo wyciągniętą.

Niebo szare, skudłone, zwichrzone wytrzymać nad tym miastem nie może. Ścina się w bałwany i mierzwi się i kręci. To się rozdziera, to zrasta, to strzępi, to jednoczy, to znów w chmury zlewa. Te, nisko, o czarne kłykcie kominów drąc deszczem nalane piersi — uciekają w szalonym pośpiechu. Lecz miasto puścić ich nie chce. Czarnemi ryjami kominów dobiera się do chmur, które, niby rozhuśtane blade-szaro-różowe wymiona maciory, trzęsą się nad nim i chwieją.

Brud, proch przywarł i przymarzł do twardej, kamiennej kanwy brukowiska. Stęzał w wystające kupy i grudy. Jakoby się miasto całe w zimie poranku oblekło gęsią skórą.

Cicho. Tylko w przegięciu ścieków zakręci się czasem kłamstwo ogłoszeń i rajfurska błaga, na ulicznych świstkach drukowana. Tylko na skręcie gościńca, podmuchem uniesione westchnie obłudne wyznanie wiary, czarnemi ząbkami białą szmatę gazety gryzące. Tylko rzadka kłapnie okiennica, lub pryśnie litera napisu z nad domu, lub zadrży na wierzchu skrzyni zbłąkany kwiat.

Skrzynie stoją przed każdym domem. W nich wszystko, co już zużyte, niepotrzebne, parszywe, śmierdzące, sparciałe i zgnojone. W nich wszystko, czego już zwierzę domowe poruszyć nie raczy, czego litosierna ręka żebrakom dać się wzdraga.

Popiół, kurz, potrzebaskany sprzęt, łupy, obierzyny, gorzkie nacie, robaczywe bulwy, zgniłe owoce.

Prześmiardła słoma z psiego siennika, rozbite kryształki kielicha, jadowitą ropą nasiąkłe szmaty, wyopatroszone jelita ptaszków smacznych, dzioby i łby drobiu, rozbite talerze, splugawione koronki, śpiesznym łakomstwem poszarpane pudełka konserwów, zlepiony piach spluwaczek, głowy rybie, słodkie słowa, na różowych tabliczkach karnetu wypisane, tłuste podszewki kapeluszy, przez myszy wyżarte, pleśnią obrosłe skarpetki. Na szczycie tego wszystkiego, przez złość, czy dla urągowiska, zwalono kupę zdrowym mięsem obrosłych kości. Kości, któreby jeszcze można ssać, z którychby szpik tłusty można wytrząść i spożyć — gdyby nie zamarzł.

Uciekli wszyscy, pełne skrzynie kału po sobie zostawiając. Lecz przerażony ranek widzi, jak w owym kale starsza siostra tych, co uciekli, żerować idzie.

Idzie stara kostucha o kostur wsparta, a chrupkie jej kości kosto-machy skrzeczą i trzeszczą. Łysą głowę — wyschłą makówkę, przykrywa cienkim płatkem szmaty. Oczy, krople zbrukane, tęży przed siebie. Próżno dźwiga szczękę niesforną wysoko, pod nos krogulczy i złamany. Szczęka wciąż pada w dół, odsłaniając spłowiały aksamit wytartych dziąseł. Nogi rozpuchłe, w słomę i papier okręcone, wlecze powoli po ślizkiej gładziźnie bruku, po którym gładysz miejski biegnie tak szybko.

Aż dotarła do skrzyni, do śmietniska, aż dobrnęła do swego rogu obfitości. Tu się jej twarz w łakomą mordę zmienia. Zmarszczki, niby te zmarszczki starej ulegalki mróz—ścina łapczywość i ostrzy i struga żądza połowu.

Nogami opiera się w grunt, głowę na wyschłej szyi krzepko sztorcuje i przechyla. Uwiędłe chuchro w łapy kostur-pogrzebacz ująwszy wpycha w śmietnik.

Piach się sypie, ostrym dreszczem leci na papiery. Stękają oślizgłym poświsem zatęchłe szmaty, drą się pod szponem pogrzebacza rozmiękle reszty jarzyny, chrupią kości i pudełka.

Nic jeszcze starucha nie przewraca, nie wyciąga, nie dłubie, tylko kłem kostura bada smrodliwą głębię skrzyni. Krupy, guziki, suche ochłapy sypią się z pokładu na pokład, z warstwy na warstwę i szepcą do starej: szuk — szuk — szuk — szuk — szuk — szuk. Jak do legawej, trop gubiącej.

Zgruntowała. Co rychlej do worka zgarnia wszystkie kości, nieogryzione kosteczki i wygotowane gnaty. Ręce stare w śmieciu zagłębia między skrzep plwocin, między oślizgłość szmat paluchami przenika. Badawczo, czy wśród zgniłych zajadów paru guzików nie wyszpicluje, czy jeszcze pudełka jakiego nie wymaca. Czy żelastwa nie napotka, lub szmaty jakiejś bogatszej nie wywęszy.

Co się palcami spenetrować dało, spenetrowała. Tedy ręce, krupą wszelakiego świństwa operlone, wywleka.

Kostur w garść i raz, dwa, raz, dwa, kopie, rozkopuje, rozrzuca, rozwleka, babrze.

Zła woń jadowitym nieumiarem wydycha się ze skrzyni, gardło niby piórkiem rajcuje, oczy wygryza, ogłuchłe uszy zatyka. Popiół siada na brwiach,

na zmarszczkach, leci na piersi, sakwy do cna wyschłe.

Szuk — szuk — szuk — przedrzeźniają śmieci ruszone i z pod rąk się spłóżą, umykając. Ręce parą grabków włożą w kwaśne, zrudziałe złogi paki. Włożą coraz głębiej po łokcie, ramiona, że tylko czub głowy szarą gomółką skręconej kosiczki włosów wygląda z chropawych krajów skrzyni.

Nic tu już więcej nie znajdzie. Śpieszy dalej. Między murami się chwieje, od skrzyni do skrzyni pełźnie, niby widmo obleśne, duch miejskiego poranku, czy losów miejskich wcielenie ostateczne.

Teraz ma pracę podzieloną, bo jedną ręką szuka i grzebie, a drugą, w kostur zbrojną, odgania precz jakiegoś psa wywłokę, co koło śmietniska krąży.

Nie tobie, psie, a mnie. Człowiek pierwszeństwo ma przed psem — troi się w wyschłej makówce.

Człowiek ma prawo, a nie pies. Człowiek...

Więc szuka dalej, dłubie w starych obcasach, nabok składa pęknięte potniki.

Ten śmietnik, to skarbiec jej, utrzymanie, chleb.

Niczym hijena — odpadkiem się żywi, padliną i kością.

Nie bzik ją tu sprowadza, a niemiłosiernego życia żart. Zgubiła coś i szuk — szuk — szuk — szuka w śmieciach.

We wszystkich szmatkach coś zgubionego się chowa, we wszystkich kościach gruntowny szpik się tai, z każdego pudełka lekkomyślna zguba wyskoczyć może.

Przetrząsa śpiesznie jedno za drugim, trzecie i czwarte. Gdzie zguba?

Znoszone łańchy przez palce cieką, kościane palce na kolcach się kaleczą, odłamki szkła na mięso dybią.

Szuka korzyści, szuka zdobyczy wśród gratów, statków, co żyły, lecz umarły, były w całości, a są w rozbiciu.

Nosiła - ci przecie na młodym, słodkim ciele szmatki, koronki, wstążeczki, jedwabie, muśliny, atłasy, hej, hej!... — Całe, caluchne.

Jadła buzią łakomą ptasząt piersi i pieczenie, pasztety, grzybki wymyślne, uda, udka, konserwy, sztufady, studzieniny i smakołyki, jej, jej!...

Piła gardziółkiem pożądlwym ze szkła malowanego, prześlicznego, z butelek podkasanych i starych, staruszek omszonych, ze szkła prześlicznego całą tęczę napojów, ho! ho!...

Gdzie zguba?

Grzebie, szuka w śmietniku-sumieniu własnym, myślący trup, nad trupem sprawy życia pochylony.

Falbana, sprzęt, robak, co przepełził, czy szczur, co wyskoczył, poddaje słowo, słyszane ongiś. Na wieczery, wpośród aksamitów, winem złanych, z ręką przy piersi włochatej na portfelu, z palcami, szelestem papierków upieszczonemi, gdy usta sine, do zadu końskiego podobne, mówiły, lepiąc: „Zgaduj, zgadula, gdzie złota kula?”

Kula potoczysta toczy się światem rozłożystym. Gdzie się zatoczy, czy człek przewidzi, dojrzy, dopatrzy?

Zgaduj, zgadula...

W chwytkich rękach plotą się, wloką przedmioty, reszty i śmiecie, a myśl się z niemi wita, dawnych współników w nich pozdrawia. Wspólników i sługi bezwolne i okoliczności przyjazne i celne powody i podręczne wykręty.

Po nitce do kłębka. Od płwociny do piersi, co ją wypłuła. Od obcasu do serca, co obcas ten na drugim sercu postawiło. Od kiszeczek ptaszka smacznego do zbereźnictwa rozhułanej nocy. Od rzemyczka do stryczka — zgaduj, zgadula, kosturem traf, gdzie złota kula?...

A chwyci to kulę teraz? Nie chwyci, a uroni. Ej, poronienie ty, częstotliwe.

Wprzód na słomie, na strychu miłosnych ukradków — roniła, sztuką piekielną, dzieciątko jedno i drugie. Roniła wstyd, słowo po słowie, kształt po kształcie, myśl po myśli. Roniła zdrowie — dzień w dzień i noc w noc — do ostatniego choróbska. Choróbsko jej w narząd sromoty krwawe storczyki wrzodów wetknęło. Skórę obsiało siną niezabudką pryszczów, usta nadgryzło stęchłym serem zgnilizny, umailo gardło białą arkadą nalotów.

Poronienie ty, częstotliwe.

Przestrach stanął na granicach miasta. Dziury strasznych wrzasków w niebo wyrzucił.

Pobudzone rykiem wsie okoliczne ślą w ulice wozy ładowne, pełne świeżego żarcia.

Śmieciarka wacha, węszy i tropi w kupie pasudztwa. Węszy, stare śmiecie z robactwa iska

i patrzy i oczyma łypie, choć się posoką od prochu i pyłu zasnuły.

Wtym coś się pod palce nawinęło małe, okrągłe, zimne, kosmate.

Zabawka, kurczę, czy noworodek trupik?

Tak — gdzieś — kiedyś — w jamie z pomyjami, własna krew z krwi, piekielną sztuką zakatrupiona.

Oczy ma wyjedzone, rączęta trzeszczą, pogru-chotane nóżki wiszą na włóknach. Na głowie włoski jak len, jak złoto, jak pajęczyna.

Nie trupik, lalka. A tamto, własna krew z krwi, jak ta laleczka. I stara mama już wnet, wnet, wnet, jak tamten trupik, jak ta lalka, na śmieciach wkońcu, wkrótce wycharczy resztę tchu.

Stanął, przewinał się, frunął tych ludzi żarłocznych skręt rozgoniony, co zużyli, pojedli, wycisnęli, splugawili, strawili, na amen — kopnąwszy.

Wspólny los. Lalka, to koleżanka, siostra rodzona.

Wzięła śmieciarka poranionego bałwanka do ręki, ogląda, obmacuje. Leży se tu na śmieciach rozciarachane niebożę, niezaradne.

Szuk, szuk, szuk — niesie się z mglistej oddali, szuk, szuk, szuk — niesie się z pogmatwanych, w kozi róg zapędzonych myśli.

Rozprostowują się zmarszczki, szczęka drżąca leci w dół. Usta się rozwierają. Gdy oczy, w słup ustawione, nic nie widzą, gdy uszy już nic nie słyszą, usta rozwarte piją wielką prawdę beznadziejnego mroku poranka: Człowiek nie lalka. Choć

żeby — niczym ta świnia, w szkodzie pyskująca — w śmietniku ryjący — prawo ma odmienić się. Na samego siebie pracować. Lalkę prześcignie, zakasa, przegoni.

Że piersi sparciały i nos odgnił, to jeno przemiany smutna szkoda.

Pracujący zawsze ma prawo. Z pracy wyjdzie sądzić żywych i umarłych.

MUSIC-HALL.

Czarny kadłub budowy, wypryskiem światła wzdłuż wiązań i szprych żelaznych błyszczący, leżał na brudach miejskiego bruku, jak niesłychana jakowaś, olbrzymia, drapieżna kocica. Jej ślepie — to wysokie gały elektrycznych lamp. Słysząc, jak przewracają się w twardych, żelaznych orbitach, ostrym światłem sycząc zjadliwie. Rżnięte filary gmachu, w ziemię wparte — to chwytke pazury dziwoląga. Wbił je głęboko w ziemię miasta, tłustą od potu ludzkiego.

Ta ogromna budowa, potwór, którego pręty i druty, niby zjeżony włos drapieżnika, skrzą ognisćcie, cuchnie naokół czadem spartego powietrza, chucha gryzącym wyziewem napitków, tchnie swędem rozjątrzonej w gorącu ciżby, poci się spiekłym błotem, które znoszą tu ludzie ze wszystkich zakamarków całodzienniej pracy.

W gęstym mroku nocy domy, dachy, narożniki, balkony i wały kamienne rysują się, rzekomo rozpadają w wielkie bruzdy i skiby przeschłego trzęsawiska. Z pośród tych skib, szczelin, rozpęknięć i szpar, na podobieństwo szybkich mrówek, mszyc, stonóg i wszelakiego robactwa, wylegają pojazdy,

rzesze ludzkie i giną raz wraz w ciemnych, splątanych flakach budowy.

Zda się ten gmach żelazny zbłąkanym jakimś łotrem-łupieżcą, rabusiem, co legł na zeschniętym trzęsawisku i wokół zionie próchnicą i gnije. Rzesze ludzkie tłumem czerwów pasożytnych, łakome gnijącej padliny, cisną się w jego stęchłe wnętrzności, chciwie tłoczą się do środka, by zasmakować w robaczywym sercu drapieźnika.

Serce szmatą kurtyny zakryte.

Wzdłuż, do zimnych żeber, wklęsłych miednic, nabrzmiałych stawów i wyżej, do oplwanych zżutym tytuniem krętych obojczyków budowy, lepi się i lgnie gęstym, szarym zakalcem zgrzane mrowie ludzkie. Twarz spocona przy twarzy—wyciąga się w pasmo tłustego ciasta. Drobnym makiem przesypują je oczy. Niżej, na parapecie, jak niesamowite raki, kręcą się czerwone, spracowane ręce. Wtył, wprzód, to wychodzą jedne na drugie, to nikną, to czepiają się twarzy, to jeszcze z postrzępionych rękawów, jak z opłotu sprószzonej pokrzywy, zawisają nad dymną pustką sali.

Dym kurzy się, wysnuwa ze wszystkich galerji, tumanem występuje z parteru i kręci się między białymi krzesłami, co ruchem białych chrząstek wciąż się zmykają. Siną podkówką podbija wielkie żrenice latarni. Wielkie, białe, prażące, chwieją się nad pustką kroplami do białości rozprażonego żelaza. Chwieją się, kołyszą, chyboczą.

Aż strach bierze. Że się znienacka oberwą i nagłą śmiercią oparzelisk spadną w dół na tłum

różnobarwny. Że spadną, jamy wypalą tam, w ogrodzie damskich kapeluszy, dziury wypieką w śnieżnej tafli prasowanych koszul. Te białe piersi, co je strojne panie jak dwie maślane bułeczki ze staniów wyłaniają, zaskwierczą przeraźliwie. Ptactwem ognistym wyfruną z głów wysoko strusie pióra. Srogi pożar rozwachlarzy na kolanach stulone wachlarze, a krew białe gorsy pańskich koszul w amarantową morę przemieni...

Zeszła się już była czereda muzykantów. Rozmieszczeni na zydlach roztropnie, by jeden drugiemu smykem oka nie wydziobał, wzięli się do strojenia instrumentów.

Popłynęła jedna i tasama, przeciągle becząca nuta, lejąc się z miejsca na miejsce. Toś ją słyszał, jak drży na wyprężonych nerwach skrzypiec, jak podbiera, zgarnia pod siebie inne tony, pochodne, i na tych innych, niby na rusztowaniu czy piętrach, rozściela się. Toś ją słyszał uwieczoną w zakatarzonym stękanu klarnetów, jak się z tego śluzu, co go to instrument nie żałuje, otrząsa niecierpliwie, by wreszcie ciepłą strugą wypłynąć. To znów chwytałeś ją w chwili, gdy, hukając, przemykała się w słodziutkiej tchawicy fletów, wesoła i niesforna.

Wydęte bańdziochy basów gderały na nią półsennie. Mała, czarna świstawka, piccolo — piszczał niezaradnie, jakby jej złapać nie mógł. Inne znów czarne kominy — fagoty smażyły nutę zawzięcie we wnętrzach wrzaskliwych. Lecz wszystko nikło

i pierzchło, gdy złociste gardziele trąb charknęły wielkim, sądnym głosem.

Już skrzypkowie przyłożyli głowy do ramienia, szczypiąc palcami czarne, wychudłe szyje skrzypek, a smykiem z naprężonych strun ciągnąc długi, potoczysty sok dźwięku. Już wjolonczeliści rzezać poczęli żywot swych instrumentów, wabiąc z nich pożywne, sytne głosy. Już się wzdeły policzki tych wszystkich, co dmą. Jeden se usta w jadowity lek ustawił, z dudki ostatnie tchnienie wysysając, drugi głowę do fletu, jak do poduszki, bokiem przyłożył, niby śpi — a tymczasem dmucha szelma piskiem całego świata. Trzeci dmie, wargi zaciska, na lejku trąby płaszczy, by mu z powrotem tchnienia nie oddała, któreby go już bez pardonu rozewało.

Gdzieś w kącie burzył się bęben. Warknął raz, drugi. Jak w głodnym żywocie oberwało się w nim złe echo, a potem, wściekły, prędkim warczeniem rozbełtał głosy wszystkich instrumentów.

Na okrągły stolec dyrektorski wszedł kapelmistrz, mały, czarny garbus. Batuta trzepnęła niecierpliwie w pulpit, sprośnemi rysunkami upstrzony. Wzniósł się w górę, natychmiast przykróciła rozwydrzoną swawolę instrumentów.

Ścichło. Słychać było tylko szczęk talerzy, nożów i widelców, niby szczęk stalowych żuchw, szkło gryzących.

Prasnęły pierwsze akordy marsza. Brzękadła, dzińkadła, okrągłe zady mózdzierzy, wszystko zwierać się zaczęło, zмагаć, trzeszczeć, chrzęścić, trzeć,

rozrabiając w słuchaczach dziki, nieokiełznany smak. Lecz hałaśliwa fala wkrótce opadła i wraz fałszywa, przez każdego ulicznika wyszturchana melodja skoczyła skarżyć się skrzypcom. Te, precz odtrąciwszy, przelały ją w pojemne żywoty wjolonczeli. Wjolonczele tłamsić się wzięły oną melodję, rozgniatać i mięsić. Od spodu kopął ją głuchy, bolesny prztyk basów, z góry szczypały skrzypce, z boku opryskliwie rwał flet. Spienioną zasmażką chluptały klarnety. Póki nareszcie melodja, wśród tylu zmian zjadaczona, dostawszy się w rozwarte piersi trąb, nie huknęła z nich na cały gmach.

Potoczyła się jasnym, beczelnym zewem głośna fala, co tak jest pospolita, jałowa, obrzydła, że nic już ją zapłodnić, ani zohydzić nie jest w stanie. Ogrzana tęsknym wyglądaniami pracowitych podziemi, przyjęta gościnnie przez tych, którym muzyka niedostępną jest narówni z wypoczynkiem. Ciśnięta masom przez pierwszego lepszego błazna, który, dziarski kościec rytmów pochodzący w zwywożony łańch melodji okrywający za kilka centów, rzuca go tłumom.

Z widowni na scenę puszczone reflektory. Dwa wielkie koła świetlne — dwie przerażone źrenice upadły na wzniesioną podłogę, goniąc się wzajem.

Z kulis wyszarpnęła się śpiewaczka z głośną wrzawą. To idzie, jak tresowana klacz, linję kłębów całym ciężarem ciała podkreślając, to chyli się, by gorzkim karminem umalowane poziomeki piersi ukazać. We włosach, grzywą pudła opada-

jących, snuje się złoty wąż i gwiazda, chętnie błyskająca, gwiazda zakazanego popasu. Na szyi, bielidłem usmarowanej, rząd sinych pereł, niby siny ślad zębów, co szyję ową pogryzły. Na gołych ramionach złote obręcze nierządu. Ręce spasione, wychuchane, nierobne, ręce, pychę próżniactwa bezwstydnę.

Twarz?!

Cienista szminka nosa, krycha brwi na boki, czoła zmarszczonego bruzda w górę — przecina ona twarz krzyżem pozoru, krzyżem męki. Z krwawego kwiatu ust krzyż ten wyrasta. Pod poprzecznicami jego, niby dwie gwiazdy rozpustnej obrazu i bezsiły, niby dwa fałszywe kamienie w czarnych oprawach, w czarnych skówkach płoną oczy.

Postać, czerwonym jedwabiem opięta, świecidłami, co, jak lśniące robactwo, całą szatę oblaży, napiętnowana, w nawale łakomych spojrzeń, niby w grząskim błocie — kroczy i stąpa, wysoko unosząc nogi.

Kroczy i stąpa — muzyka ją hałaśliwym odmętem popycha. Linję kłębów całym ciężarem ciała podkreśla — muzyka ją uszczypnieniami skrzypek łaskocze. Chyli się, gnie — muzyka ją uderzeniem basów kopie. Klęka, rozgina się, rozchyła — muzyka ją sądnym głosem trąb sądzi. I szydzi z niej ostrym ukropem fletów i pali bezwstydnym hukaniem fagotu, a na grzbiet wali kamienną grudę bębnień.

Tancerka zrywa się. W szale przed tonami ucieka i zwrotnym kręgiem hasa.

Straszne, rozległe źrenice reflektorów mieniają się wszystkimi barwami i uciekającą ścigają nieodstępnie.

Unosi spódnic, by ich w źrenicach tych nie zszargać, chciwe spojrzenia strzepuje, stopami drobi ostrożnie, by łakomstwa ludzkich oczu nie uśmieżyć.

Muzyka nią miota, szarpie, szczypie, kułakuje. Tancerka cofa się w głąb sceny, ku złotej dekoracji, co konturem malunku obrzeża klin białolśniącego nieba, niby złota, wycięta kamizelka, ponad którą widnieje biały gors koszuli.

Tu, w ostatecznym wyuzdaniu niemocy, poczyną śpiewać. Muzyka grzywę ostrych tonów pod ten śpiew chętnie ściele. Karminowe usta tulą się i rozwierają, trzaskaniu słów oddane. A słowa lecą kuławę, pokraczne, każdym drgnieniem kłamiące o jakichś przygodach miłości.

Głos, pijacką chrypą stoczony, rwie się, w kaszlących gwałtach wylata. Już się usta w krwawy rynsztok zmieniły i pędzi z nich pomiot sprośności i świszczące pomyje. Śpiewaczka w czerwonych szatach, na tle ogromu białej dekoracji drżąca, majaczy żywą ćmą, krwawą spinką, którą ktoś przeszpił biel koszuli. O dekoracje oparta — do gorsu wpięta, przebiera rękami i nogami. Niewidzialny olbrzym-zawalidroga, miejski frant rozpustnik porusza oddechem beżmierny gors dekoracji, na którym rozkrzyżowana spinka drży w umęczeniu...

Zaczął się nowy numer.

Wyległo kilkunastu drabów w czarnych libe-

riach. Ci skrzętni karawaniarze budować, rozpinąć jęli nad salą i widownią potrzask ze sznurów, linek żelaznych, drabin skośnych i ukrytych odskoczni. Zachrobotwały przekładnie, zazgrzytał rząd kółek wielkiej sieci bezpieczeństwa, co z sypkim szelestem niewodu sunęła po powietrzu. Szare liny i druty, poprzerywane tam i sam błyskiem krótkich stalowych orczyków, rozpinwały się między stropem a ścianami gmachu potworną pajęczyną, przetykaną zimnym poblaskiem nożów.

Jeszcze puste były te sidła wymyślne, a już wnosić można było z oddalenia trapezów, że się tu podstępne niebezpieczeństwo między sznurami płące, że obok szarych sznurów rozpinają się tu inne drogi. Drogi strasznych możliwości i karkołomnych rachub.

Hutna, jurna ochota wyszarpnęła się z orkiestry. Trzasła w plecy gimnastyków, którzy, wskoczywszy do siatki, spinać się jęli w górę po drabinach. W czarnych trykotach, uczepieni do drabin, podobni byli do wielkich much.

Zgiełk orkiestry zachwiał się i nagle zgasł.

Gimnastycy byli już u stropu.

Całą salę zaległa ogromna cisza. Słyszać było dokładnie świst sznurów i trzeszczenie bloków stalowych.

Jeden z gimnastyków wiram błyskawicznych ruchów ciskał się i szarpał na najwyższym orczyku. Dwaj inni w odważnych skokach łapali się wzajem z rozhuśtanego trapezu na trapez.

W głuchoj ciszy, myślałbyś, że to nie szprychy

i śruby stalowe, a ludzkie stawy, wyłamywane kości gną się i trzeszczą.

Mnogoliczne rzesze w cierpkiej rozkoszy pasły się niebezpieczeństwem życia.

Tymczasem gimnastycy, rozmieściwszy się na trzech najdalszych węzłach sieci, zamarli w głębokiej rozmowie spojrzeń.

Rozdarł ciszę ochrypły, piskiem przerośnięty skowyt: „All right!”

Wszyscy trzej z szaloną szybkością runęli w rozpiętą pajęczynę lin. Oto nie mogą się utrzymać na ślizkich trapezach... To nie trapezy!... Widać w błyskawicznym przelocie. To ostre klingi sztyletów. Ludzie się ich czepiają, w bólu utrzymać się niezdolni, pędzą z drążka na drążek, z ostrza ruchomej brzytwy na brzytwę, coraz prędzej, skoczniej, uplątani w straszliwe polowanie równowagi, w stalowej pajęczynie drżący.

Pajęczyna ogromna! Liny stalowe zlewają się, topią z tysiączną strugą żądnych spojrzeń widowni. Sznury i druty kręcą się w jedność z ostrym promieniem ciekawych oczu.

Pajęczyna straszliwa. Wysnuły ją ciekawe, śmierci chciwe żrenice, przepłotły się z liną, drutem i czyhają.

Wreszcie gimnastycy skoczyli w dół, a muzyka wybuchła hucznym wrzaskiem.

Ledwo ściągnięto sieci i liny, gdy światła zemdlały i pogasły.

Muzyka się przecknęła i lekko, cicho, na tonie niskim, skaczącym, ostrożnie bujać zaczęła chęć

tajemniczą. Doły, wyrwy, wykroty czyniły w ciszy oderwane, ciężkie razy basów. W te wyrwy raz wraz wlewał się lepki pogłos klarnetów płynnym błotem fałszu. Ciemna chytrość, obrażona przekora, tłumiony gniew i dąs okrutny wysmykał się ze ściśniętych instrumentów. Wszystko poganiał bęben, waląc głucho i mocno, niby w czyjś grzbiet bezwolny. Zasadzka, podstęp, to budził się, to niął w tonach, aż się przekształciły wszystkie w rozmokły grunt, na którego ślizkiej powłoce razy rytmu wybijały twarde koperczaki.

Ta właśnie muzyka wywionęła, wygnała z dekoracji człowieka-nieczłowieka, żywą nędzę, czy podobieństwo ostatniego zaprzepaszczenia. Wyskoczyła postać, w łachmany i strzępcie odziana. Rysy jej twarzy określił występki. Ślepa sprawiedliwość pokopała ją sińcami. Gniew władz wyrwał z jej czupryny całe garście włosów. Postać ona pieściła w rękę niechlujnym składany nóż, który z grzechotem strasznego śmiechu to zwierał się, to rozwierał.

Ostre gwizdy przekłuły czarną dal sceny. Na przeciwnym końcu zamajaczył żywy, wielki strzęp: dziewczyna w brudnej onuce na głowie, w dziurawych, męskich lakierkach na bosych stopach. Przypadli do siebie i szczepili się dłońmi. On jej ręce w stawach wykręcał, bił, szarpał — ona mu wymierzała policzki. Ciemnym kołem skoczyli w dziki tan zbirów.

Poniewierka, głód, złodziejstwo miotało dobraną parą to wlewo, to wprawo. Beznadziejna chuć

wkręciła się w ich ręce, że darli się za włosy, padając z kąta w kąt.

Niedolą poszarpane, głodem skręcone dwa brudne śmiecie ulicy tarzały się po scenie, a zbrodnia tężyła nad nimi zimne skrzydła rozpacz.

Pierzchli.

Zabłyły światła, krzykacz oznajmił następny występ człowieka-węża, rwącego wszelkie skrępowania, dyby i kajdany. Zjawił się artysta w szarej, aresztanckiej przyodziewie. Podeszli ku niemu ci, którzy do obwiązania na ochotnika zgłosili się byli z tłumu. Zadzwoniły łańcuchy i cienkie postronki żelazne. Owiązano go żelaziwem przez piersi, głowę i nogi. Ręce zamknięto na kłódki.

Szara twarz człowieka okryła się ledwie dostrzegalnym połyskiem potu.

Muzyka grała truchtem, a skrzypczki cięły z wysoka uszczypliwym szronem przerywanych nut.

Człowiek padł na ziemię, zwijać się zaczął, kuścić, skręcać, jak wąż. Na twarz wystąpiły czarne żyły wyteżenia. Ręce zsiniały. To stawał na głowie, to padał na bok, drgnieniami całego ciała nieznacznie przesuwając łańcuchy. Ale żelazo i stal trzymały krzepko, siną pręgą paląc wzdęte muskuły. Kurz chmurą otoczył człowieka, co, w szarym wojłoku podobny do trzęsącej się grudy ziemi, sunął w różnych kierunkach po scenie.

Głęboki wstyd zaważył ciężko na całej sali. Tłumy podały się naprzód, oczami, technieniem, sercem całym życząc skazańcowi oswobodzenia. Ten zaś, jak piskorz w konwulsjach, skokach,

uskokach, prężył się, to ku ziemi przenikał, to całą postacią wystrzelał w górę.

Tysiące ludzi prężyły się pod zaciskiem łańcuchów. Krótkie, zduszone życzenia przeklinały zwarłość stali. Wysilek artysty zatętnił we wszystkich skroniach. Potem niewolnika zrosiły się wszystkie czoła. W zawziętej walce o swobodę ruchów stał się człowiek bezkształtnym workiem.

Ktoś huknął z galerji: „Przestańcie grać!”

Muzyka szeszła.

Słychać było przypadanie zmiętego ciała do podłogi, rzeźenie wgiętej piersi i chrzęst wyprężonych łańcuchów.

Naraz łańcuchy, niby kry lodowe czy zbite szkło, z głośnym dzwonieniem zsunęły się na ziemię. Człowiek stał — wolny.

Weselny ryk szarpnął się z piersi tłumu, lecz zmilkł. Bo oto człowiek skrępowane miał jeszcze ręce.

Zwęził je, zwarł, sklepił. Opuchłym przegubem spychał łańcuch ku napiętkom, a stąd starał się końcami palców ściągnąć dalej. Lecz stał, węzowym opłotem wijąca się dokoła, nie dała się uchwycić. Człowiek przykląkł, szukając na ziemi jakiegoś sęka, gwoźdźca czy wyniosłości, o którąby się dało oczko łańcucha zaczepić.

Pot lał mu się z czoła na ziemię. Wkoło rąk, wysterczających boleściwie z aresztanckich rękawów, obok węzowego opłotu stali, przewijał się drugi płynny, czerwony sznur krwi. Człowiek za-

marł w wyteżonym bezruchu. Sine jego ręce, jak upadłe płaty irysu, drżały ustawicznie.

Słychać było dygot łańcuchów i porywy litosnego płaczu gdzieś na galerjach.

Zda się, nie może człowiek sam uradzić. Drżąc, czeka, aż przeciw stalowemu, co mu ręce opęzł i zniewolił, wynijdzie z wewnątrz drugi wąż. Gdy tamten zimny, ten gorący, — gdy tamten błądy, ten czerwony, — gdy tamten zwarty, ten płynny. Wąż krwi. Rudą rdzą na stali osiedzie, rdzą stał przegryzie.

Czeka człowiek, tęży się, mimo że mu tłum białymi szmatami macha — nie pyta i głową przeczy.

Nareszcie!

Połykiem zimnego śluzu spłynęły łańcuchy na ziemię, a człowiek drżące, zakrwawione ręce wzniosł ku tłumowi, jakby mu je teraz krwawe, lecz wolne oddawał w podarunku.

Tumult chyba żeby rozwalil mury. Lecz pokwapiły się srogie płuca trąb, ogromnemi haustami fanfar łykając głośnie uradowanie rzeszy.

Przyćmiono światła. Zielonawo-niebieskie lśnienie zatopiło całą scenę. Krzykacz z za węgła oznajmił, że popisować się będą sztukmistrze, co ze strun ludzki głos wydobywają.

Wyszli młodociani chłopaczkowie, w kusych, strojnych atłasach, usiedli zgrabnie na prawo i lewo koło harfy. Zaś przy harfie pięknej, w kształt dzio-ba czółen starożytnych wygiętej, spoczęła blada dziewczyna.

Ona pierwsza w ton uderzyła. Palce młode, lekkie, ni to wiotkie, gałązki jabłoni, muskać jeły długą, złotą przedzę strun. Więc drżały pod palcami, to splecione, jak cienkie nici słodkiego miodu, to kołyszące się, niby świętym technieniem uniesione złote włosy męczennicy. Z kosy rozpiętej przedła się giętka tkanina, plół się cudny warkocz różnolitych, powłóczył harmonji.

Lecz i ręce chłopaczków, nad wnęką mandolin różowemi okiściami zawisłe, wdały się w tę muzykę. Wyfrunął głos jęklivy, powiewem skrzydeł niewidzialnych zatrzepotał.

Rozwiane tony zwały się, zbratały w słodki, nieprzerwany zew. Ten zew rósł i żywej mocy nabierał. Póki wkońcu, pełen żalu i boleści, nie przekształcił się w rozlewny, czarujący jęk głosu ludzkiego. W rękach dusza załkała.

Jęk trwa.

Grające na mandolinach dłonie, palcami w zmienny, pięciolistny kielich kwiatu rozkwitłe, linją, jak wstęga liljowa, nad instrumentami usłane, wioną ze strun wołanie.

Pląs lekkich dłoni budzi, na jaw dobywa te inne ręce, co się przed chwilą w kajdanach krwią oblały, te inne, świszczące na zimnym gnacie trapezów, te inne, zhańbione taneczną sromotą. A cienie tych wszystkich lecą gęstą żalobą na dłonie widzów, poharatane w pracy. Tak, że gdy muzyka szczytami harmonji na końców kokardę się zawiązuje, — twarde ręce widzów wiążą się w pięści.

SPIS RZECZY.

	Str.
DRUCIARZ	1
PRACZKA	13
SZKLARZ	25
HYCEL	37
SŁUGA	49
RZEŹNIK	63
ROZNOSICIELKA DZIENNIKÓW	75
WYCHODZCA	87
SZEWEC	103
ŚMIECIARKA	115
MUSIC HALL	127



253273



LITERATURA PIĘKNA

WYJĄTEK Z KATALOGU
SPÓŁKI NAKŁADOWEJ „KSIĄŻKA“
W KRAKOWIE

DO NABYCIA WE WSZYSTKICH KSIĘGARNIACH

DANIŁOWSKI GUSTAW.

JASKÓŁKA.

Powieść w 2 tomach, wydanie 2-gie. Cena 5 kor. 50 hal.
(2 ruble 20 kop.).

„Z tego..., co w powieści Daniłowskiego czytamy, wnosimy, że najbardziej chyba był on powołanym do zobrazowania ruchu bez uprzedzenia, nie stojąc „ponad życiem“, ale tkwiąc w nim węzłami serdecznymi... Przecudną jest idylla miłości Orskiego z Halszką Orwidówną... Nie potrzebuję przypominać cudownych opisów przyrody w „Jaskółce“. (*Na marginesach Daniłowskiego „Jaskółki“, Tadeusz Dąbrowski w „Krytyce“, NNr 1 i 2, 1908 r.*).

„Jedna to z najszerzych koncepcji życia współczesnego, jakie literatura posiada; nie tylko tragiedję polską przedstawia, ale załamanie się obrazu całej kultury obecnej w duszy istotnie wolnej. Główny rachunek sumienia współczesnej kultury poeta tu przeprowadza...“ (*„Krytyka“, Nr 3, 1909 r.*).

„...Skarbnicą, próbą najwyższej koncentracji wzlotów bojującego ducha, jego wzruszeń i pragnień, pokus i zagadnień, największego napięcia utajonych mocy, z rzeczywistością niezłączonych, nazwałbym Daniłowskiego „Jaskółkę“. (*„Przedświt“, Nr 5, 1908 r.*).

DANIŁOWSKI GUSTAW.

W MIŁOŚCI I BOJU.

Nowele.

Cena 3 kor. 20 hal. (1 rb. 20 kop.).

„Daniłowski ma swój dogmat, w który wierzy tak silnie, że wiara ta innych porywa i do wierzenia zmusza. Żywi on swoją nadzieję, która wydaje się każdemu oczywistą i konieczną, jak tylko wejdzie w zaczarowany krąg jego twórczych obrazów. I miłością swoją tak przepaja dzieła, które tworzy, że budzą się wszystkie instynkty kochania, rozpalając żądze mocniejsze niż śmierć, bo nawet w obliczu jej — zwycięskie... Ostatnia książka Daniłowskiego „W miłości i boju“ w większym może jeszcze niż poprzednie stopniu posiada te wszystkie cechy, tak bardzo wyróżniające twórczość jego od dzieł mniej lub więcej zdolnych artystów współczesnych, zatrutych pesymizmem i porażonych bezwładem...“ (*„Życie“, Nr 13, 1910 r.*).

„Obrazy Daniłowskiego ...posiadają właściwą autorowi „Jaskółki“ moc sugiestywną głównie przez wirtuozowskie wprost odtworzenie nastrojów duszy i plastykę odpowiadających tym nastrojom pejzażów. Zalety talentu Daniłowskiego występują w tych nowelach na pierwszy plan, wad żadnych nie znać, filozoficzne rozumowania nie zaciemniają fabuły. Psychologia osób wycyzelowana jest mistrzowsko i trafnie... Tom cały (zaopatrzone w niezwykle piękną winietę rysunku Jana Rembowskiiego) stoi pod względem artystycznym może jeszcze wyżej, niż dotychczasowe utwory Daniłowskiego.“ (*„Głos Narodu“*, Nr 341, 1910 r.).

„...nowele G. Daniłowskiego... Dwie zwłaszcza, „Paltocik“ i „Pamiętka“, porywają swą bezpośredniością wrażenia, nieмым a tak wymownym bólem, swą cichą tragedią, a oddają życie z taką dokładnością najdrobniejszych wibracji owych subtelnych, mało dostępnych rysów uczucia, że, aby je znaleźć i wydobyć, trzeba nie tylko talentu twórczego o niezmiernie wyrafinowanej wrażliwości, ale trzeba żyć i znać ludzi, a raczej ich daną kategorię, jak zna p. Daniłowski.“ (*„Naprzód“*, Nr 296, 1910 r.).

„Druza (nowela) z rzędu „Paltocik“, najlepsza w całym zbiorze, to zamknięte arcydzieło bólu i nędzy emigracyjnej, cicha i prosta tragedia, tym rzewniej wstrząsająca, że zawiera w sobie osobny dramat, przedstawiony co prawda tendencyjnie, ale niemniej prawdziwy, nie tyle jako psychologia pojedynczego momentu, ile jako streszczenie w sobie wielu momentów podobnych. Trzecia rzecz, „Pamiętka“, nader efektowna i wstrząsająca, to „literatura“, która jednak zawiera w sobie strzępy prawdziwej doli.“ (*„Słowo Polskie“*, Nr 49, 1911 r.).

„Wszystkie zalety tego autora... ujawniają się tu w pełni... Poprzez wszystkie nowele przegląda tętniące współczuciem serce... Cała wartość tej niecodziennej rzeczy opiera się na tle, na bogactwie kalejdoskopowych szczegółów, na żywości, na wartości sytuacji...“ (*„Myśl Niepodległa“*, Nr 159, 1911 r.).

„...Są u nas znowu i jeszcze ludzie o wielkim talencie, którzy społeczeństwu rzucają wspaniałe kwiaty, w ciepłarniach dusz własnych wyhodowane. Do ludzi takich należy niezaprzeczenie Gustaw Daniłowski... Daniłowski ma niesłychaną łatwość pisania; słowo, użycie słowa w sposób, któryby pożądanym przez niego wpływ wywierał, to dla autora „Jaskółki“ drobnostka. Styl jego porywa i olśniewa czytelnika... Daniłowski swym sposobem pisania wywołuje u nas złudę rzeczywistości, którą często świadomie nawet bierzemy za rzeczywistość samą... „W miłości i boju“ to jedna z najcenniejszych książek, jakie się u nas pojawiły, i dla tego przeczytać ją należy.“ (*„Gazeta wieczorna“*, Nr 101, 1911 r.).

„...W zbiorze tym jest jedna nowela, której znajomość obowiązywać powinna wszystkich tych, którzy cenią nie tylko talent autora „Jaskółki“, ale wogóle piśmiennictwo polskie! Maleńkim tym arcydziełem nowelistycznym jest bajka prozą Daniłowskiego, zatytułowana „Gołębie świętego dziecka“. Głęboka w swej treści symbolicznej, posiada ona pierwszorzędne zalety współczesnej sztuki pisarskiej.“ (*„Izraelita“*, Nr 11, 1910 r.).

„Bohaterzy ostatniego zbioru nowel Daniłowskiego są przeważnie w wieku studenckim, stąd też młodocianość ich uczuć... Oświecenie tego życia drga... tonami czystego liryzmu samego autora i gdzie ten liryzm bezpośrednio przemawia, wywołuje trwalsze, szczere wzruszenie. W „Gołębiach świętego dziecka“ wzruszenie to przechodzi w konstrukcję ideowo-heroiczną, w „Paltociku“ przejawia się z prostotą i naturalnością, która podbija.“ (*„Krytyka“*, Nr 4, 1911 r.).

„Zbiorek nowel „W miłości i boju“ jest dziełem pisarza pewnego siebie, pisarza o wyobraźni bujnej, posłusznej, nie sprawiającej niespodzianek ani „in minus“, ani „in plus“... Jako poeta objawia się Daniłowski nie w całościach, lecz w szczegółach, tam gdzie podnosi uczucia osób do najwyższego djapazonu, daje im wyraz, zamajający wprawdzie charakterystykę osób i logiczną fizjonomię wydarzeń, ale wyraz sam przez się piękny, energiczny, często taki jak u Żeromskiego poszukujący, lotem rozstrzonej strzały wwiercający się w ciemny miąższ jakichś zagadnień metafizycznych...“ (*„Nowa Reforma“*, Nr 183, 1911 r.).

„... (Daniłowski) przedstawia cały szereg typów ofiarnych bojowników za wolność i szczęście powszechne dla wszystkich. A że jest przytym artystą nielada, nie poprzestaje na sensacji konspiracyjno więziennej, ale kreśli nierzaz karty, owiane przedziwnym urokiem prawdziwej poezji.“ (*„Tygodnik Ilustrowany“*, Nr 25, 1911 r.).

„Książka pod względem artystycznym stoi wyżej od wszystkich dotychczasowych tego rodzaju utworów Daniłowskiego.“ (*„Prapor“*, Nr 14, 1911 r.).

„Jest tu nowela: „Za ścianą“, w której ów pierwiastek rzewności, charakteryzujący talent Daniłowskiego, zakwitł tak cudną lilją liryzmu na podłożu głęboko przemyślanych i artystycznie ujętych duchowych powikłań, że nie mogę oprzeć się chęci opowiedzenia jej tu pokrótce... Nie pamiętam dawno beletrystycznego utworu, któryby na mnie uczynił tak silne wrażenie, jak ta nowela. Oryginalność pomysłu, poczerpnięta u czystego źródła psychologicznych zagadnień, przyoblekła się tu w kształt wysoce artystyczny, zwłaszcza w pierwszej części, którą czyta się wprost jak poemat prozą... Nowela „W miłości i boju“ ukazuje nam inną duszę kobiecą,

również w celi wręcz przeciwnego jej naturze życia uwiecznioną... Bólem czegoś nieosięgniętego, a przecież za najwyższą cenę kupionego technicznie ta nowela; i ból ten jest zasadniczym tonem całego tego zbioru. W najnamyślniej rwących naprzód tęsknotach, uskrzydłych nadzieją nowych słońc szczęśliwości, wschodzących nad ludzkimi dolami, czai się jakaś tępa świadomość, że słońce na poczekaniu tworzyć nie można i że jedyną rzeczywistością tego świata... jest cierpienie. I może ta świadomość ukryta czyni Daniłowskiego tak wrażliwym na wszelkie niedole i łyzy, czy to płynące z oczu dziecka po stracie „Paltocika“, czy ronione w głębiach dusz dojrzałych, sprawiających pogrzeb swym najwyższym ideałom. Może dla tego jest on wśród rewolucyjnych, zbuntowanych twórców z ostatniej doby takim gołębiem o orlim sercu, jak te boskie ptaki, które lepiło Święte Dziecko w ślicznej, naczelnej niniejszego zbioru fantazji“. („Słowo“, Nr. 199, 1911 r.).

„...Na właściwym sobie gruncie Daniłowski jest tam, gdzie nie tworzy akcji, ale opowiada z głębokim współczuciem o cudzym nieszczęściu, o cudzej niedoli, o cudzych uczuciach. Jakże piękna np. jest ta chwila w „Pamiętce“, kiedy Marja, „mężnie wyprostowana, z rozwichrzonymi włosami, podobna do zbuntowanej Walkirii“, podnosząc krzyżyk, przysięga jedną połową serca kochać zawzięcie, drugą — nienawidzić śmiertelnie. Ileż smutku tkwi w opowiadaniu p. t. „Paltocik“, a ileż poezji w „Gołębiach świętego dziecka“. („Kurjer Warszawski“, Nr. 191, 1911 r.).

GRUBIŃSKI WACŁAW.

MOC KAMIENNA.

(Dajmonjon-Bib. — Jerzy — Moc kamienna).

Cena 3 kor. 20 hal. (1 rb. 20 kop.).

„(Grubiński) umie zastanowić się nad naturą ludzką i z talentem opowiadać. Talent jego rozwija się i zajmie niezawodnie w beletrystyce naszej miejsce pierwszorzędne“. („Myśl Niepodległa“, Nr. 173, 1911 r.).

„Świadomy środków i celu, fascynuje Grubiński swojemi utworami... Grubiński z niebywałym mistrzostwem gra na nerwach i czyta się jego utwory z zapartym oddechem, jak tylko czytać można Allana Poe'go. Grubiński postacie swoje krwią własną ożywia, daje im własne nerwy... Język bogaty i bujny. Język Grubińskiego posiada moc zaiste kamienną“. („Świat“, Nr. 25, 1911 r.).

„Co go wyróżnia dodatnio z pośród innych, to przede wszystkim nieustanna troska o styl, zamiłowanie stylu i przy-

tym — rzecz trzeba — dobry smak w stylu! W trzech większych utworach, które składają się na tom „Mocy Kamiennej“, jest dużo ustępów, do których wraca się z zadowoleniem, rzekłbym nawet — z tęsknotą... Tom cały świadczy, że młody autor wyrabuje sobie drogę do otwartych przestrzeni, omijając wzgardliwie zaułki ustalonych banalności“. („Prawda“, Nr. 26, 1911 r.).

„Grubiński każdą bez wyjątku rzecz, którą opisuje, bezwarunkowo widział. Dla tego każdy szczegół, każdy obraz tak wyraźnie zarysowuje się przed naszymi oczyma. Nic nie jest zbytczne, nic nie jest niezrozumiałe. Bo wszakże to, co istnieje, przemawia za siebie własną rzeczywistością. A Grubiński, jeżeli nie widział czegoś w rzeczywistości, widział to w halucynacji artystycznej, równie żywej, jak rzeczywistość. Taka siła widzenia pociąga za sobą ogromną siłę odczuwania. Jest też u Grubińskiego przerażająca siła emocji — dochodząca do napięcia, które może spiorunować i zabić“. („Sfinks“, Nr. 7, 1911 r.).

„Grubiński ma szczerzy talent... Jeżeli można już porównać autora „Zabawy“ z którymś z mocarzy pióra, to chyba z Maupassantem. Jest to nasz polski Maupassant — w minjaturze. Posiada on rzadką u nas galską wesołość myśli. I równocześnie wraz z swawolnym Francuzem odgaduje pod orgą swawoli zmysłowej jakiś ciężar tragiczny“. („Wolne Słowo“, Nr. 132-133, 1911 r.).

„Trzy nowele, nie przeznaczone bynajmniej dla podlotków, a świadczące o ciągłym rozwoju talentu autora“. („Przedświt“, Nr. 9, 1911 r.).

„Trzy nowele p. Grubińskiego, które w niniejszym zbiorze się znajdują, cechuje niezaprzeczony talent silnego, plastycznego i kolorowego słowa. Opowiada też nim znakomicie“. („Kurjer Lwowski“, Nr. 370, 1911 r.).

„W nowelach, składających się na całość — świeżo wydanej — książki, opracowuje autor głównie uczucia miłosne. Czyni to z głęboką znajomością psychologii i duszy ludzkiej — dla tego stylizuje poniekąd omawiane zjawiska, ludzi i sytuacje — przedstawiając wszystko w skrótach śmiałych a pewnych. Dla tego mamy wszędzie uczucie niejako rwące się, wibrujące, w stanie poczynania lub zamierania, a nigdy w formach stałych i skryzalizowanych w formy ostateczne. Można twórcy istotnie to wielki, dostępny nie każdemu. Dla tego zwycięskie pokonanie tych wszystkich rozlicznych trudności świadczy bardzo dodatnio o zdolnościach autora“. („Gazeta Poranna“, Nr. 215, 1911 r.).

„Jedną z najbardziej spornych kwestji, dotyczących najmłodszej Polski, jest talent Grubińskiego. Wspomniany przeze mnie Rabski upatruje w jego utworach jeno „dużo zręcz-

ności i... moralnego nihilizmu". Stefan Krzywoszewski mówi o Grubińskim, iż „talent młodego autora wyprzedził jego światopogląd... A ktokolwiek, choćby najbardziej niekorzystnie uprzedzony, przeczyta uważnie, aż do ostatnich słów, nowelę, kończącą zbiór ostatni, p. t. „Moc kamienna“, musi powiedzieć z przekonaniem, iż problemat rozstrzygnięty. Tu już niema miejsca ani na nihilizm, ani na niedojrzały światopogląd, albowiem nowela jest przepełniona aż po same brzegi talentem dużej miary, i bije z niej, jak ze źródła, największa enota dla artysty: nieomyślność formy“. (*„Dziennik Petersburski“*, Nr. 432, 1911 r.).

„Nowele Grubińskiego czynią ogromne wrażenie. Subtelny psycholog przykuwa szczegółami w charakterystyce, jest świetnym stylizatorem duszy ludzkiej. Utwory napisane są bardzo pięknym językiem“. (*„Dzień“*, Nr. 194, 1911 r.).

„P. Grubiński udoskonalił swoją technikę. Styl jego, zawsze kolorystyczny, stał się wytworniejszym, zwroty zyskały na płynności, zachowując dawniejszą jędrność i dosadność“. (*„Słowo“*, Nr. 241, 1911 r.).

JAWORSKI ROMAN.

HISTORJE MANJAKÓW.

(Treść: Miał iść. — Zepsuty ornament. — Medi. — Trzecia godzina. — Bania doktora Lipka. — Amor milczący czyli o absolutnej niemożliwości, by pewien młodzian zakochał się w damie jakiegokolwiek).

Cena 4 kor. 20 hal. (1 rb. 60 kop.).

„Książka to ciekawa — albowiem miarą ciekawości książki literackiej jest przedewszystkim talent. Tutaj zaś przemawia do nas talent niewątpliwy i odrębny. Odrębność zaś znowu i miara talentu polegają na szczerości i na sile uczucia, w twórczości przejawionego“. (*„Naprzód“*, Nr. 89, 1910 r.).

„Potrzeba niemałego wysiłku, żeby tę książkę sumiennie do końca przeczytać. A szkoda, bo... w takich obrazkach, jak „Zepsuty ornament“ lub „Medi“, znajduje się koloryt, siła i dobry rysunek stanów duszy, który sercem wstrząsa“. (*„Przegląd Powszechny“*, Nr. 10, 1910 r.).

„Zbiór nowel, wybijający się ponad zwykłą produkcję literacką. Tehnie z nich pewna świeżość talentu, wyrażająca się zarówno oryginalnością pomysłów, jak i indywidualnym ujmowaniem przedmiotu... Niewątpliwy talent, którego już ta książka wyraźnym jest świadectwem“. (*„Nowa Reforma“*, Nr. 295, 1910 r.).

„Styl p. Jaworskiego ma w sobie bardzo dużo świeżej plastyki i pięknego, przepuszczonego przez filtr ironji sentymentu... Książka jego jest jedną z tych..., które po przeczy-

taniu w pamięci czytelnika nie maleją, lecz rosną i przerastają same siebie, tak że gdy się do nich wróci, wywołują uczucie niedosycenia, niepokoju“. (*„Widnokręgi“*, NNr. 16 i 17, 1910 r.).

„Niezwykła książka! W powodzi nowel, szkiców, opowiadań, narzucających się współczesnemu czytelnikowi więcej sensacyjnym tytułem albo ilustracją fasadową z wyobrażeniem kobiety nagiej (konieczne) — tak rzadko spotka się książkę, która by zatrzymała nie tylko fabułę, ale każdym zdaniem i słowem. A taką właśnie jest książka Romana Jaworskiego.

Przyciąga i odpycha, pieści i oburza, bawi i zastanawia; książki Jaworskiego można używać, jak się używa natury, kwiatów, słońca. Biję z niej pełnia życia, odtworzonego przez artystę niezmiernie subtelno, cokolwiek przerafinowanego, ale podkładającego całą duszę pod zjawisko przez siebie przeżywane“. (*„Słowo Polskie“*, Nr. 162, 1911 r.).

„Pisarzem nawskroś dzisiejszym jest autor „Historji Manjaków“... Autor należy do rzędu tych ludzi rzetelnych, którzy się nie cofają wobec zgrozy. Jego wzrok ma ostrość wizji malarskich. Jego marzenia i obrazy mają rodzaj i charakter nastrojów beardsleyowskich, gdzie wytworne, ciche rodzaje piękna kojarzą się z potworną brzydotą ludzkich przerosłów, zaników, zgarbień i wklęnięć... Jaworski ma zmysł do napięć wyteżonych uczucia, do mająceń gorączkowych, do objawień rzadkich... Słowem, w Jaworskim widać posuniętą bardzo głęboko szczerość wylewów osobistych jednostki, która wobec zwolnienia u nas inkwizycji tendencyjnej, traktującej dotąd butami wszelką subtelniejszą roślinę, buchnęła gorączkowym pożarem marzenia o szczęściu“. (*„Prawda“*, Nr. 14, 1911 r.).

KASPROWICZ JAN.

CHRYSTUS.

Poemat społeczno-religijny.

Cena w oprawie 3 kor.

„...Wielkim dziełem Kasprowicza jest poemat „Chrystus“... Utwór to wielki w założeniu — miejscami, o ile naturalizm nie przeszkadza w symbolizowaniu uczuć ogólnoludzkich i nie zgrzyta w formie — także w przeprowadzeniu... (W. Feldman, *„Współczesna Literatura Polska“*).

„...Miecz prokuratorski spadł na to dzieło dla jego bluźnierczego tonu, i słusznie, jeżeli bezbrzeżny smutek i nadmiar litości bluźnierstwo stanowi, a wymowa rozkrwawionego serca paszkwilem się stała“. (Al. Brückner, *„Dzieje literatury polskiej“*. Wydanie II. Tom II. Str. 422/423).

KULIKOWSKA MARCELINA.

BARWY DUSZY.

(Z portretem autorki).

Cena 5 koron. (2 rb.).

„...Mamy przed sobą starannie wydany tom, ozdobiony portretem autorki i ładną winiętą rysunku p. B. Rychter-Janowskiej... Wychodzi... ku nam z kart książki dusza, zdolna do całkowitego spalania się na stosie ofiarnym, łaknąca piękna, sprawiedliwości i prawdy, pełna chwilami wiary w jutro, nade wszystko jednak smutna i boleśnie zadumana“... (*„Kurjer Warszawski“*, Nr. 51, 1911 r.).

„Naogół noszą te wiersze piętno bolesnego przygnębienia, z którego sama ich autorka zdawała sobie dobrze sprawę, pisząc w swym pamiętniku o „myśli o opuszczonych skrzydłach“ i negatywnych siłach, z których czerpie swą twórczość“... (*„Gazeta Warszawska“*, Nr. 55, 1911 r.).

„Uderza w tym zbioru niezwykle rwanie się do życia, ton szlachetny i pewna muzyka wiersza. Kto wie, czy nożyce śmierci nie przecięły pasma niepospolitego“... (*„Myśl Niepodległa“*, Nr. 165, 1911 r.).

„W poematach Kulikowskiej tętni — by się tak wyrazić — imperatyw tworzenia. Myśl leci, wyrazy brzmią mocno, uczucia grają silnie. Skala ideowa i uczuciowa wcale szeroka“... (*„Słowo“*, Nr. 78, 1911 r.).

KULIKOWSKA MARCELINA.

Z WĘDRÓWEK PO KRAJU.

(Kruświca. — Z zaboru pruskiego. — Kaszuby. — Zagłębie Dąbrowskie. — Śląsk Górny. — Z Warszawy).

Cena 2 kor. 60 hal. (1 rub.).

„Książka ciekawa i pouczająca, choć naogół smutna, bo prawdziwa i polska. Kto zna opisywane dziedziny narodowej niedoli, niech ją przeczyta, dowie się wiele ciekawych rzeczy, które ujdą oczom przeciętnego badacza; kto ich nie zna — niech tę książkę również przeczyta; jest to jego obowiązkiem. Dowie się wtenczas, że pod tym mogił chwastem, plewami, jest jakieś dziwne narodowe kucie — jak gdyby serce ludu — w kamień biło“... (*„Łan Młodzi“*, Nr. 152, 1911 r.).

„Sympatyczna autorka... nie ogranicza się... na podaniu mniej lub więcej ścisłych danych natury ludoznawczej i społeczno politycznej, ale stara się zarazem odczuć duszę tego ludu... Autorka nietylko z uczuciem rodaczki Polki, ale i za-

razem z sumiennością badacza duszę ludu naszego oddaje w krótkich rozmowach z nim. A w tym tkwi główna wartość pracy pod względem etnograficznym“... (*„Gryf“*, Nr. 8. 1909).

MARKOWSKA MARJA.

MELODJE ŚMIERCI.

Cena 1 rubel.

„Lubię poezję p. Markowskiej. Wykwint duszy i rzewliwość tonu każą wpatrzeć się w smętne ich wnętrza. Tak lękają na leśnych wygonach dźwięki fujarki, tak skarży się niedola polskiego chłopca, tak woła serce, gdy je los poniecha. — Pieśń ofiary dla sławy nieśmiertelnej, dla przyszłych światów niepodległego piękna polskiej Psychy wiąże mnie w akord z tonami pieśni p. Markowskiej, aczkolwiek poszukuję innych dźwięków w skali psychicznej narodowości naszej. Wiersz „wzdyć-em ci służył“ przypomina okres złoty naszego piśmiennictwa.

Archaizm pieści ucho, olśniewa, bo kto ciągłość kultury naszej może sobie odtworzyć z wszystkimi jej zaletami i wadami, ten, jak słodkie chwile dzieciństwa, pamięta mocną gwarę Reya, podniosłość Kochanowskiego, namaszczenie Skargi“... (*„Prawda“*, Nr. 3, 1910 r.).

„Tomik poezji p. Markowskiej przedstawia się niezmiernie sympatycznie... p. Markowska jest niezmiernie wrażliwa na sprawy życia. A to nam powie, dla czego w większości swych pieśni snuje wątek wokół pragnień i ukochań ideałów dnia dzisiejszego. W zwycięstwo swych ideałów p. Markowska wierzy, sądzi nawet, że próżny jest trud tych, którzy chcą zmarnować, wytepić wybrańców Jutra“... (*„Myśl Niepodległa“*, Nr. 127, 1910 r.).

„Skargę... nabrzmiałą istotnym, nieklamany bólem, który z głębszych płynie źródeł, przyniosła z sobą świeżo p. Marja Markowska... Wczytując się w te dźwięczne, istotnie melodyjne, przepojone szczerem uczuciem strofy, w których spowiada się dusza poetki ze swojej niemocy, z tęsknot swoich, z goryczy, którą wypila, uczymy się ją rozumieć... Tak śpiewa pokolenie, które przeżyło rewolucję ostatnią, opaliło sobie skrzydła w jej ogniu...“ (*„Kurjer Warszawski“*, Nr. 109, 1910 r.).

NALEPIŃSKI TADEUSZ.

CHRZEST.

Fantazja polska. Cena 4 kor. (1 rb. 60 kop.).

„Chrzest“ zawiera wcale zdobny materiał poetycki; w formie jest wyszukany, z bardzo wyraźnymi literackimi

pokrewieństwami, ale także ze znaczną jedrnością, przejawioną w rymach często mocnych i oryginalnych oraz w języku świeżym, pełnym wyrażen dosadnych i rozmaitych... („*Naprzód*“, Nr 89, 1910 r.).

„Wiersz płynie śpiewnie, rymy dzwonią, jak perły, rytm łka, jak skarga jaskółki. Nigdzie zgrzytu, nigdzie dysproporcji lub załamania się linii...“ („*Mysł Niepodległa*“, Nr 135, 1910 r.).

„Jakie... widzeń tych bogactwo! Jakie rytmów tych tempo! Jak każde z nich, wiotkie nieraz i becziesne, krwią tętni żywą!... Wysokich lotów potrzebują skrzydła (Nalepińskiego), a jeśli schyla się, to nigdy nad bagnem, lecz nad otchłaniami, po której również można latać i podobnie jak w podniebiach dostrzegać tajemnice...“ („*Krytyka*“, Nr 6, 1910).

„Piękna, górna fantazja, miejscami świetnie wystylizowana w swym podniosłym nastroju, silna w tonie zasadniczym, plastyczna w obrazowaniu symbolicznym... Poemat... marzycielskiego nastroju... kunsztownie zbudowane... oktawy odznaczają się zwartą siłą słowa, wyrazistą rytmiką, bogatą harmonją i obfitują w szczęśliwe zwroty, mocne, dobitne tony.“ („*Książka*“, Nr 9, 1910 r.).

„Poemat zastanowienia baczego wymaga i nie od razu niecierpliwemu czytelnikowi odsłania swe tajemnice, tajemnice istotnie z myślącego i czującego poety wysnute... Dopatruję się w tym poemacie młodzieńczym... bardzo ciekawej i poważnej zagadki wielkiego talentu poetyckiego. Tę przyszłość rozwiąże. Obyż jak najpomyślniej!“ („*Kurjer Warszawski*“, Nr. 286, 1910 r.).

„Całość poematu, przybranego w szatę dźwięcznych i mocnych oktaf, mimo pozornej rozbieżności poszczególnych części, sprawia głębokie i przejmujące wrażenie.“ („*Tygodnik ilustrowany*“, Nr 2, 1911 r.).

ORKAN WŁADYSŁAW.

HERKULES NOWOŻYTNY I INNE WESOŁE RZECZY.

(Treść: Nad moją duszą żalobnicą. — Herkules Nowożytny. — Opowieść o planetniku. — O Wojtku, którego na Szczepana przekreślił. — Lis. — Przykry moment. — Jędrzej Baja i powieściopisarz. — Jak Jędrrek Sklarz po Włochach jeździł).

Cena 2 kor. (90 kop.).

„Herkules Nowożytny zawiera utwory humoru, przesianego przez ból serdeczny; chwilami pogodny, humor ten oryginalnym obrazowaniem życia człowieka i zwierzęcia sil-

nie porusza duszę i wskazuje, że Orkan w tym kierunku jednym z przedniejszych mógłby zostać twórców.“ (Wilhelm Feldman, „*Współczesna literatura polska*“).

„Okazuje się..., że Orkan umie spoglądać na życie i świat z tego punktu widzenia, z którego one śmiesznymi wydać się mogą, dostrzega ich komiczną stronę, gdyż widzi częstą, a naiwną sprzeczność między istotną treścią czynów, a ich uświadamianiem sobie, ich oceną moralną, między zamierami a ich urzeczywistnieniem. Co więcej, autor umie się zdobyć nawet na swobodny i pogodny humor. („Jak Jędrrek Sklarz po Włochach jeździł“). Samo przez się jednak rozumie się, że podstawowym tonem jest nie pogoda, lecz ból serdeczny.“ (A. Drogoszewski, „*Książka*“, Nr 10, 1906 r.).

ORKAN WŁADYSŁAW.

NAD URWISKIEM.

Wydanie drugie z dodatkiem „Listów ze wsi“.

(ZBIÓR NOWEL. Treść: Chłop na lany wyszedł z kosą. — Nad Urwiskiem I. — Wilja. — Na Godnie Święta. — Bazię. — Wesoły dzień. — Piekietko. — Błażkowa Łysina. — Niedowiarek. — Nad Urwiskiem II. — Po ugorach. — Z krainy Górców. — Tę krainę kęp. — Juzyna. — Miałem raz chwilę. — Przekleństwo. — O ziemi, o nędzy. — Po omacku. — Jasna polana. — Po ugorach i po szarych łanach zbóż. — Noc. — Listy ze wsi).

Cena 3 kor. (1 rubel 20 kop.).

„Władysław Orkan wyszedł z ludu i sercem wśród ludu żyje. Wykształcenie nie przerwało nici uczucia, łączącej go ze środowiskiem ojczystym. Stał się śpiewakiem tego piekła nędzy chłopskiej, w którym przyszedł na świat. Szara, rozpaczna dola ludzi ciemnych, nieszczęsnych, wytraconych poza nawias życia współczesnego, jest nieodmiennym tłem jego opowiadań... Beznadziejność spętała mu ducha i zaszklila źrenice, jak starym gazdom, których twarze tak pysznie maluje.“ („*Wiedza*“, Nr 21, 1910 r.).

„Życie wsi, dusza chłopca, jego troski codzienne, jego zwyczajne odwieczne, jego miłość ziemi i najgłębsze uczucia i myśli — oto treść tej ciekawej książki.“ („*Kultura Polska*“, Nr 7, 1910 r.).

ORKAN WŁADYSŁAW.

OFIARA.

Fragment w 3 aktach z roku 1846. Cena 1 kor. 50 hal. (75 kop.).

Krwawy obraz z dziejów okropnej rzezi tarnowskiej. Ponury dramat, rozgrywający się pomiędzy dwoma światami,

obcemi sobie, wzajemnie się nie mogącami zrozumieć. Z jednej strony porywy bohaterstwa, zrodzonego w duszach młodości, pełnych idealizmu i samozaparcia się — z drugiej — głuchy mur ciemnoty ludu, pomnącego krzywdy odwieczne, a podszywanego przeciwko niosącym mu wyzwolenie przez siły, wrogie jemu tak samo, jak i tamym. Całość wywołuje wstrząsające wrażenie.

„Silny swą sztuką, silny swą wiarą, łączy się Orkan... z zastępami szeregów bojowych, które, „nie mierząc sił, lecz drogę“, idą do słońca, do światła, do gwiazd“. (W. Feldman, „Współczesna literatura polska“).

ORKAN WŁADYSŁAW.

WINA I KARA.

Tragedja w 3 aktach. Cena 2 kor. (90 kop.).

„Zupełnie... świadomym, dojrzałym dziełem artystycznym jest „Wina i Kara“. Poeta od razu stwarza tu swój świat... W „Winie i Karze“ fatalistyczny, wyroczny charakter tragedii starożytnej połączony jest przedziwnie z chrześcijańską ideą odkupienia oraz z nawskroś współczesną ironią moralną. Dawnej miękkości Orkana niema już w „Winie i Karze“ prawie ani śladu... Najgłębszą treścią twórczości Orkana jest zagadnienie krzywdy i cierpienia... W „Winie i Karze“ spójrz! im w twarz zimnym, silnym, niezmaconym wzrokiem. Teraz dopiero rozpoczyna on więc może twórczości swojej wiek męski“. (Jan Sten, „Krytyka“, Nr 10, 1905 r.).

„Władysław Orkan w dramacie „Wina i Kara“... wziął za temat chrześcijańskie pojęcie grzechu, ale równolegle ukazał, że staje się ono tragicznym tylko w duszach ludzi wierzących“. (Emil Haecker w rozprawie „Stanisław Wyspiański“).

ROGOSZÓWNA ZOFJA.

PISKŁĘTA.

(ZBIÓR NOWEL: Jureczek. — Jak sobie Jędrus „tiutkę“ znalazł. — Jaki „odpuść“ zrobił Jędrus mamie, a jaki mama Jędrusiowi. — Jak się to Jędrus opiekował Marysią. — Jaką naukę dał tiutce Jędrus. — Haluska).

Cena 2 kor. 60 hal. (1 rubel).

„Piskłęta“ Rogoszówny wprowadzają nas w świat... odczuć i wrażeń dziecięcych, podpatrzonych żywcem, zrozumianych doskonale i przeniesionych od razu na papier rzutem

śmiałym, lekkim, zdradzającym nieomyślne drgnienie talentu... wszystko to staje nam przed oczyma, naszkicowane zaledwo, ale silnemi, pewnemi, utrwalającemi się od razu w wyobraźni rysami. *To jest talent*“. („Słowo Polskie“, Nr 562, 1910 r.).

„W Polsce nikt jeszcze z takim odczuciem nie mówił o duszy dziecięcej. I nikt nie mówił o niej z takim artystycznym umiarkowaniem... „Piskłęta“ zasługują na baczną uwagę. Jest to dzieło młodego, szczerzego i naprawdę dzielnego talentu“. („Nowa Reforma“, Nr 574, 1910 r.).

„Zofja Rogoszówna w rozslonecznionych swych obrazkach odślania nam duszę dziecka. Zamyka się tę książkę z tym poczuciem, że się napewno do niej wróci, jak się wraca do wdzięcznych liryk lub do galerji, gdzie się uśmiechają jasne główki włoskich malarzy“. („Kurjer Lwowski“, Nr 588, 1910 r.).

„Nowele p. Rogoszówny czyta się z zajęciem, wykazują talent pisarski. W tym krynicznie czystym świecie znajdzie czytelnik miły wypoczynek i niejedną obserwację, a więc niech czyta każdy, kogo „Piskłęta“ interesują“. („Myśl Niepodległa“, Nr 156, 1910 r.).

„A jeszcze co wam radzę dobrze wysłuchać — to „Piskłęta“ Rogoszówny. Bo tam jest jedna mała dziewczynka, Halusia, co mówi takim słodkim dziecięcym językiem, że człowiekowi aż rozkosznie się robi na sercu...“ („Wolne Słowo“, Nr 1, 1911 r.).

„W autorce „Piskłat“ witamy nowy talent. Tak wdzięcznych, tak pełnych powabu utworów, jak te nowele o niemowlętach i dzieciach, „ledwie od ziemi odrosłych“, niewiele posiadamy w naszej literaturze nadobnej... Czytanie „Piskłat“ sprawi pełnoletniemu czytelnikowi oczyszczającą przyjemność, jak pieśniedoty ślicznych, wesołych i mądrych czteroletnich malców... czytanie tej niedużej książki nieznanej jeszcze autorki odświeża jak letni powiew z łąk“. („Świat“, Nr. 3, 1911 r.).

„Piskłęta“ to zbiór prześlicznych nowel o małych dzieciach; rzecz, tchnąca świeżością, szczerem, głębokim sentymentem, delikatnością ujęcia i prawdziwym odczuciem duszy dziecięcej... Prawdziwe uczucie radości przejmujące, gdy, po raz pierwszy biorąc do ręki książkę wstępującego na widowie autor — spotka się z poważną kulturą artystyczną i szczerem talentem. Niecodzienna to radość. Obie książki Rogoszówny są z tych, które się odczytuje zawsze z upodobaniem“. („Gazeta Warszawska“, Nr. 65, 1911 r.).

„Sądzę, że w „Piskłętach“ przybyło naszej literaturze dziecięcej niepospolite urokiem dzieło“. („Prawda“, Nr. 18, 1911 r.).

„Rzecz jest zupełnie oryginalna, w sposób własny od-

czuta, szczerze, bezpośrednio i z wielką miarą artystyczną, z szczęśliwą prostotą i ujmującym wdziękiem wydobyta... Z temi zasobami artystycznymi, które już dziś posiada, może już panna Rogoszówna wybierać każdy temat, jaki jej nasuwa własne przeżycie i wyrobione poczucie psychologicznej ciekawości.“ („*Słowo polskie*“, Nr. 294, 1911 r.).

„Zdarzają się palce tak subtelne i zręczne, że z kłębaka tych pajęczych zawikłań pomiędzy duszą dziecka a jego otoczeniem wyplatają tęczową nitkę porozumienia, a jeśli takie palce ujmą pióro, wtedy literaturze przybywa pisarz dziecięcy z Bożej łaski. Mniemam, iż nie omylę się, witając go w osobie p. Zofji Rogoszówny, której niewielki zbiór nowel, zatytułowany „Pisklęta“, świeżo przeczytałem.“ („*Słowo*“, Nr 164, 1911).

RYGIER-NALKOWSKA ZOFJA.

NARCYZA.

Powieść.

Cena 5 koron (2 ruble).

„Narcyza“ p. Rygier-Nalkowskiej, to rzecz zakreślona na dużą miarę. Na trzystu kilkudziesięciu stronach autorka przeprowadza nas przez tajniki duszy kobiecej, duszy niedoziemnej wcale, obdarzonej ogromną skalą wrażliwości i wielką inteligencją, posiadającej przytym to, co się nazywa charakterem, i osadzonej w ciele pięknym, młodym, ponętym, którego powaby czujemy nieledwie z samych kart powieści, z zapachu słów jej własnych, z wdzięku mimowolnego, ożywającego każdą scenę, w której ona występuje... Krajobrazy... malowane prześlicznie, z całym bogactwem słowa, z całą mocą rozległego a subtelного odczucia — stanowią największą ozdobę książki. Wogóle p. Nalkowska ma talent wybitny; jest to niewątpliwie wśród piszących współcześnie kobiet jedna z najzdolniejszych.“ („*Słowo Polskie*“, Nr. 562, 1910 r.).

„Z zajęciem można śledzić rozwój talentu Z. Rygier Nalkowskiej. Coraz to większe opanowanie środków artystycznych, coraz to większy zakres obserwacji życiowej. Od przeżyć czysto kobiecych przechodzi do coraz to ogólniejszych, coraz to głębszych. „Narcyza“ nie jest tylko reprezentantką pewnego typu kobiecego. Wciela ona zagadnienia dobrego i złego, czynu i ofiary, w stosunku do jednostki i subiektywnych jej przeżyć.“ („*Świat*“, Nr. 9, 1911 r.).

„Narcyza jest typem bardzo prawdziwym i bardzo czystym, a jako zamierzenie literackie jest niepospolitą próbą wyidealizowania oschłego charakteru.“ („*Prawda*“, Nr. 10, 1911 r.).

„Najnowszy utwór „Narcyza“ znamionuje znaczny postęp pod względem literackim.“ („*Tygodnik Ilustr.*“, Nr. 22, 1911 r.).

„Po przeczytaniu „Narcyzy“ chciałoby się być wielkim muzykiem i wrażenia swoje opowiedzieć w rozekanych melodyjnie dźwiękach, lecących w błękit nieskończoności... Rygier-Nalkowska po Żeromskim najlepiej i najpiękniej dała nam odczuć fragmentaryczność życia. Jej „Narcyza“ jest wcieloną męką tej fragmentaryczności.“ („*Wolne Słowo*“, Nr 119 1911 r.).

„Że już w paru miesiącach okazało się potrzebnym drugie wydanie „Narcyzy“, to mnie wcale nie dziwi. Jako lektura przewyższa ona poprzednie powieści pani Nalkowskiej, jako dzieło sztuki także. Tam mieliśmy zbyt wyraźne, luźne urywki z pamiętnika autorki, skrawki liryczne i krajobrazowe, związane od biedy w całość, tu pojawia się po raz pierwszy kompozycja. Zarysowują się trzy wymiary: szerz, dal i głębia.“ („*Nowa Reforma*“, Nr 262, 1911 r.).

„Twórczość Nalkowskiej należy do najbardziej fascynujących w naszej literaturze.“ („*Slov. Przechled*“, Nr 7/9, 1911).

„Jeden z lepszych, jeżeli nie najlepszy utwór tej autorki.“ („*Przedświt*“, Nr. 7-8, 1911 r.).

SIEROSZEWSKI WACŁAW.

BAJKI.

(TREŚĆ: Przygoda tygrysa. — W ruinach. — Inwalidzi. — Dary wiatru północnego).

W ozdobnej oprawie. Winieta okładowa rysunku Jana Rembowskiiego, wykonana sposobem litografji. 49 rysunków w tekście Jana Małachowskiego.

Cena 6 kor. (2 rb. 40 kop.).

„...Wyjątkowo piękną książkę gwiazdkową wydała w roku bieżącym Spółka nakładowa „Książka“. Są to „Bajki“ Wacława Sieroszewskiego. Znakomity pisarz, który już w poprzednich swoich książkach dla młodzieży złożył dowód niepospolitej umiejętności obcowania z młodem umysłami, i tym razem ofiarował dzieciom polskim garść opowiadań niepowszednich...“ („*Kurjer Warszawski*“, Nr 346, 1910 r.).

„...Bajki te są przeznaczone dla trochę starszych dzieci, zdbiają je subtelne i pełne wdzięku rysunki piórkiem J. Małachowskiego.“ („*Gazeta Warszawska*“, Nr 345, 1910 r.).

„Nieziemna plastyka słowa i wdziek, talent opisowy, posiadający dużo cech stylu i obserwacji Lotiego lub Kiplinga, oraz ogromny podkład uczuć i swojskości sprawiają, że „Bajki“ Sieroszewskiego, będąc utworem literackim pierwszej marki, gotującym przednią rozkosz dojrzałemu czytelnikowi, równocześnie są zajmującą i pobudzającą szlachetne

strony uczuć lekturą dla młodzieży“ („*Nowa Reforma*“, Nr 580, 1910 r.).

„...Na tegoroczną gwiazdkę ukazało się nowe dziełko. Są to „Bajki“, nawpół fantastyczne, w połowie pouczające, świetnym piórem, niecącym złote iskry humoru, pisane, a tak zajmujące, że oderwać się od nich trudno. A szata zewnętrzna wydawnictwa: piękna winieta okładkowa w kolorach Jana Rembowskiiego, pół setki rysunków w tekście Jana Małachowskiego, nie pozostawia nic do życzenia“ („*Tygodnik Ilustrowany*“, Nr 51, 1910 r.).

„...Na choince dziecięcej zawiesił szereg precudnych gwiazd swego talentu — Wacław Sieroszewski. Królewską prawdziwie powodowany szczodrobliwością wlał on w swe „Bajki“ całe czarodziejstwo barw, światła i tonów, całe bogactwo wyobraźni, na której paletę zbierał farby i blaski z oceanów, łądów i mórz całego świata...“ („*Prawda*“, Nr 53, 1910 r.).

„Bajki“ Wacława Sieroszewskiego, będąc w całym znaczeniu tego słowa dziełem sztuki, z niezmiernym zajęciem mogą być czytane zarówno przez dorosłych, jak przez dzieci. Na tle wspaniałej przyrody, którą Sieroszewski rozumie i maluje, jak tylko niewielu z naszych największych, rozwija się życie zwierząt i ludzi, w zdarzeniach fantastycznych i nadzwyczajnych, opowiedzianych z werwą i humorem, zupełnie władającym nastrojem czytelnika“ („*Życie*“, Nr. 1, 1911 r.).

„Sieroszewski ...miast wyobraźni zdolność myślenia kształci, miast fantazjowania wprowadza krytycyzm... Kiedyś wskazywać będą ludzie na bajkę Sieroszewskiego, jako na czas, w którym po raz ostatni zjawiała się cudowność, aby berło oddać niepodzielnie myśli i woli ludzkiej — nawet w bajce. A tym miłsze będzie przypomnienie, że to zdanie władztwa odbyło się w całym blasku piękna, nie zawiewając ani na chwilę stęchłym posmakiem morału“ („*Słowo Polskie*“, Nr. 27, 1911 r.).

„Bajki“... zwłaszcza dwie ostatnie... obudzić mogą wiele myśli, nastrojów uczucia, z którymi do dzieci rzadko się zwracano“ („*Naprzód*“, Nr. 295, 1910 r.).

„Bajki“ przeznaczone są dla dziatwy młodszej, mogą je czytać dzieci do lat 10-ciu. I wszystkie będą się bawiły „Przygodami tygrysa“, zajmie je opowieść „W ruinach“, o rodzinie myszek. A trzecia z rzędu bajka, „Inwalidzi“, pouczy je, iż o starych niedołężnych zwierzętach i biednych sierotach należy mieć staranie i dawać im opiekę. Śliczna ostatnia opowieść „Dary wiatru północnego“ zabawi, rozweseli, pouczy i wzruszy. Posiada więc wszelkie zalety, konieczne w wydawnictwie dla dzieci“ („*Kurjer Lwowski*“, z 23. VII, 1910 r.).

„Nowa książka Sieroszewskiego przeznaczona jest dla

młodzieży. Muszę stwierdzić, że będzie napewno jedną z najbardziej pociągających lektur... Po „Diable zamorskim“ jest to jedna z najlepszych książek dla dzieci i młodzieży“ („*Myśl Niepodległa*“, Nr. 156, 1910 r.).

„Zadziwiającym zaiste i porywającym jest to tehnnienie wiecznej młodości, które promieniuje z książek W. Sieroszewskiego! „Bajki“, to świeży na tę prawdę dokument. Bogactwo fantazji i zawsze świeża i młoda wrażliwość na objawy życia i walki w przyrodzie, odkrywcze podróże niestrudzonego poety-podróżnika w tajemnicze dziedziny psychiki zwierzęcej, niezmacona pogoda i humor, mający swe źródło właśnie w owej młodości i niedającej się niczym złamać radości życia, te i inne cechy i zalety, które „Bajkom“ Sieroszewskiego przypisać bez zastrzeżeń można, brzmią jałowo i martwo wobec pieniącego się w nich życia i humoru“ („*Gazeta Poniedziałkowa*“, Nr. 36, 1910 r.).

„Bajki Sieroszewskiego posiadają ...bardzo cenną, a bardzo w literaturze dziecinnej rzadką zaletę, są pełne humoru i cieszą jasnym, pogodnym uśmiechem, a czasem nawet wesołym śmiechem“ („*Nowe Tory*“, Nr. 9, 1910 r.).

„...Ten pan Sieroszewski to pisze piękne książki dla dużych ludzi. I ma bardzo mało czasu. Ale on także bardzo kocha małe dzieci. I powiada sobie: „a co ja będę ciągle pisał dla dużych? A właśnie, że ja znajdę czas i napiszę coś dla tych małych ludzi! Niech czytają!“ A jak pan Sieroszewski coś chce napisać, to zawsze umie. On ponawmyślał dla was takie cudowne Bajki o zbójnikach tatrzańskich i o jednym chłopcu, co między niemi był i usługiwał — że jak słucha się o tym, to robi się okropnie straszno na duszy, aż włosy powstają, ale coraz więcej chce się słuchać. I dziecko nawet spaćby nie poszło, a ciągleby słuchało“ („*Wolne Słowo*“, Nr. 1, 1911 r.).

SIEROSZEWSKI WACŁAW.

DNO NĘDZY.

(Brzask. — W puszczy białowieskiej. — Szczelina grecka).

Nowele. Wydanie 3-cie. Cena 3 kor. 20 hal. (1 rb. 20 kop).

„Wszystkie (nowele) odznaczają się zwykłą u Sirki barwnością kolorytu egzotycznego i przenikliwością w odtwarzaniu ludzi pierwotnych i ich dusz prostych, w których przejawia się ogólnoludzki smutek i cierpienie. Pod tym ostatnim względem Sieroszewski nie ma sobie równych w naszej beletrystyce dawnej i współczesnej“ („*Książka*“, Nr 8, *Sierpień* 1904 r.).

„Autor obok pysznych obrazów natury umiał wykazać tyle delikatności serca i przenikliwości, że czytelnik nader plastycznie widzi grę pierwotnej psychologii, pierwotnych, a przecież silnych i pięknych nieraz popędów i uczuć bohaterów. W całej książce ze stylu jędrnego i silnego, z obrazów plastycznych natury, z świetnych aforyzmów, rozsianych tu i owdzie — unosi się technicznie szerokie humanitarne o epickim zacięciu talentu“ („Przewodnik Oświatowy“, Nr 7/9, 1909 r.).

„Dno nędzy“ — obozowisko trędowatych, na które autor zstąpił wprost z zaparciem się siebie, — przypomina opowieść Hjoba... („Tygodnik Ilustrowany“, Nr 36, 1910 r.).

SIEROSZEWSKI WACŁAW.

MAŁŻEŃSTWO.

(Być albo nie być. — Tułacz).

Wydanie 2-gie. Cena 4 kor. 60 hal. (1 rb. 80 kop.).

„Pełno (tu), jak zawsze u Sieroszewskiego, cudownych obrazów, technicznych właściwym mu głębokim odczuciem przyrody, jej życia i piękności... W formie wysoce artystycznej, w sposób dyskretny i subtelny, poruszył Sieroszewski w „Małżeństwie“ odwieczne zagadnienie stosunku płci do siebie i społecznej jego formy — małżeństwa... Z całej nowej książki Sirkki wieje prąd siły i świeżości, przemawia duch niezmierzony, twórca prawdziwy“ („Krytyka“, Nr 1, 1909 r.).

„Małżeństwo“ opisuje losy wygnańca i wygnanki wśród Jakutów, trudy, z jakimi walczą, miłość, która wśród nich się rodzi i dochodzi do najdalszych konsekwencji, a wreszcie rozwód. Ta nowela odznacza się pełnemi uroku opisami tak mało znanych tamtejszych okolic, pod względem jednak etycznym stoi, naszym zdaniem, nisko. „Być albo nie być“ to z wielką siłą a serdeczną krwią opisanie prześladowanie... w więzieniach... Z głębokim bólem... kończy się tę nowelę. „Tułacz“ prowadzi znowu na daleki wschód wygnańca, który wśród tysiącznych trudności przediera się do kraju i tu na samym wstępie ginie od kuli... Wielką rolę odgrywa w tej noweli element liryczny, przejawiający się w licznych opisach i obrazach sielankowych, realistycznych i tragicznych... („Przegląd Powszechny“, sierpień, 1909 r.).

„Wacław Sieroszewski wykrywa w przyrodzie tyle piękna i odczuwa je tak serdecznie, że czerpie zeń myśli wzniosłe i głębokie i poniekąd staje się idealistą... Opowiadania te... oprócz wielkiej wartości artystycznej, mają również i wysoką

wartość moralną, albowiem wzniecają w nas wiarę w szczytne przeznaczenia przyszłej ludzkości“ („Rassegna Nazionale“, 16 września 1909 r.).

„...Symfonią wielkiej mocy i piękności jest powieść, a raczej dłuższa nowela, p. t. „Małżeństwo“. Ciekawa z wielu względów. Przedewszystkiem krajobrazy należą do najpiękniejszych, jakie stworzył kiedykolwiek Sieroszewski; tyle w nich siły, bujnego życia, nieposkromionej żywiołowości, która nie zaznała jeszcze wędzidła. A potem — niezmiernie interesująca i doskonale postawiony jest tu problemat psychologiczny, ...ten utwór... zaliczyć możemy śmiało do najlepszych dzieł Sieroszewskiego“ („Książka“, Nr 9, 1909 r.).

„Powtórna edycja, świadcząca o wyczerpaniu się nakładu w ciągu niespełna roku, jest objawem radosnym i pocieszającym. Dowodzi ona zwracania się opinii coraz szerszej ku twórcom szczerzego arcyzmu, ku zagadnieniom poważnym i głębokim“ („Myśl Niepodległa“, Nr. 35, 1910 r.).

„Talent Sieroszewskiego wznosi się... do najwyższej swej miary w „Być albo nie być“. Karty tu stworzone nie przemienia wśród dokumentów ludzkich... („Tygodnik Ilustrowany“, Nr. 36, 1910 r.).

„Być albo nie być“ — to nie tylko jedna z nowel utalentowanego autora. Doszukuję się w tym utworze wskazania do zrozumienia istoty twórczości Wacława Sieroszewskiego“ („Społeczeństwo“, Nr. 40, 1910 r.).

SIEROSZEWSKI WACŁAW.

RISZTAU.

(Risztai. — Pustelnia w górach. — Czuczke).

Wydanie drugie.

Cena 3 kor. 50 hal. (1 rb. 50 kop.).

SIEROSZEWSKI WACŁAW.

ZAMORSKI DJABEŁ.

Powieść, z 54 rysunkami Henryka Minkiewicza. W ozdobnej oprawie. Cena 4 kor. 50 hal. (1 rb. 80 kop.).

„Na czele wydawnictw gwiazdkowych postawiłby należało „Jan-Guj-Tzy“ („Zamorski Djabeł“), książkę, w której znakomity pisarz dał niejako wzór powieści dla młodzieży... („Kurjer Warszawski“, Nr 352, 1908 r.).

„Siła tej powieści leży w niezwykle barwnym i zacięwym opisie tego mało znanego świata i jego zwyczajów i w wiernej charakterystyce osób i stosunków... Egzotyczne ilustracje dodają powieści rozmaitości“. („Przegląd Powszechny“, sierpień 1909 r.).

„Dla starszej młodzieży wyszło parę książek bardzo pięknych. Pierwsze wśród nich miejsce należy się dwom książkom W. Sieroszewskiego: „Zamorski Djabeł“, malującej przygody Polaka w Chinach, i „Ze świata“, zbiór opisów i przygód, przeżytych i głęboko odczuty, o wielkiej wartości naukowej i etycznej“. („Krytyka“, Nr 1, 1910 r.).

„Sieroszewski, łączący w sobie etnografa, artystę i głębokiego znawcę duszy ludzkiej, wielkim okazuje się także i w dwóch świeżych swych dziełach: „Zamorski Djabeł“ i „Ze świata“. Zbytecznym byłoby mówić, iż, czytając te dwie książki Sieroszewskiego, poznajemy życie zewnętrzne owych dalekich ludów, które jednak czują pragnienie wolności, miłość i ból tak samo, jak my, „cywilizowani“; co więcej, uczymy się odczuwać ich cierpienia. Na kartach tych książek odbija się tragiedja narodu“... („Rassegna Nazionale“, Nr 5, 1910 r.).

„Najświetniejszym... nabytkiem naszej niebogatej literatury dla młodzieży jest piękna powieść „Zamorski Djabeł“... Obok Coopera i Beecher-Stowe stanie „Zamorski Djabeł“ Sieroszewskiego jako nasz osobisty wkład w światowej pedagogice białych“... („Tygodnik Ilustrowany“, Nr. 38, 1910 r.).

SIEROSZEWSKI WAĆŁAW.

ZE ŚWIATA.

(Wśród lodów — Polowanie na reny. — Polowanie na wieloryby. — Bokser. — Kulisi. — Latorośle).

Opowiadania, z 53 rycinami. W ozdobnej oprawie. Cena 5 kor. (2 rb.).

„Treść tych opowiadań, osnutych na obserwacjach z czasów przymusowego pobytu na Syberji i wśród Jakutów, tchnie urokiem szczerości, jaki wywołać może tylko wielka zdolność odczuwania dusz ludzkich. Opowiadania te wiodą czytelnika pod biegun lub w gorącą krainę „szlachetnej żółtej gliny“ i wpajają w serce dziecka współczucie dla nieszczęśliwych bez względu na ich pochodzenie i narodowość. Książka ta maluje z niepospolitą zdolnością narracyjną nie tylko obcych nam ludzi; ostatnia bowiem jej część p. t. „Latorośle“ wprowadza czytelnika w grono dzieci polskich“. („Kurjer Poranny“, Nr 84 (355), 1909 r.).

„Oto pisarz dużego talentu, poeta nawskroś, przychodzi do młodzieży polskiej w tym roku z książką p. t. „Ze Świata“, z książką piękną, bogatą w treść, ale obcą tłem. Jego opowiadania... mają niepospolity urok rzeczy przeżytych, widzianych. Jedynie w „Latoroślach“ jesteśmy wśród dzieci polskich i poznajemy, że Sieroszewski jest nie tylko znakomitym opowiadaczem swoich wrażeń egzotycznych „ze świata“, ale jednocześnie nowelistą „małego świata“, umiejącym wybornie orjentować się wśród zjawisk, uderzających w duszę dziecka“. („Kurjer Warszawski“, Nr 347, 1909 r.).

„Książkę „Ze świata“, pomimo rozdzierających jej bólów, zaliczymy do najpiękniejszych darów dla młodzieży od lat przynajmniej 12“. („Książka“, Nr 3, 1910 r.).

„Znakomite podróznice opowieści... Sieroszewski wzbogacił niezmiernie polską literaturę dla młodzieży; wzbogacił zaś ją nie tylko... rozszerzeniem zakresu na kolorowe ludy i lądy, ale także i znacznym podniesieniem poziomu...“ („Tygodnik Ilustrowany“, Nr 36—37, 1910 r.).

„Autor, znany podróżnik, żywo i wyraziście maluje przygody na morzu i na lądzie, przykuwa uwagę i ani na chwilę jej nie rozluźnia... niemałego trzeba talentu, aby tematem od nas tak odległym nie na chwilę tylko, lecz na dłużej zająć; autor trudności wszystkie szczęśliwie ominął“. („Przegląd Powszechny“, Nr 10, 1910 r.).

SIEROSZEWSKI WAĆŁAW.

Z FALI NA FAŁĘ.

(Japonja w zarysie. — Harakiri księcia Asano Naganori. — O-Sici. — Pojednanie. — Widmo sakurskie. — Ingwa. — Jak liść jesienny...).

Wydanie trzecie.

Cena 5 kor. (2 ruble).

„Wstęp niejako stanowi „Japonja w zarysie“, przesłannym obraz kraju, jego przyrody i mieszkańców... Następuje pięć nowel na tle życia japońskiego. Gdy się ten tom po przeczytaniu odkłada, ogarnia czytelnika jakaś dziwna tęsknota; może to tęsknota do owych krajów dalekich, nieznanych, fantastycznych, może do przygód, na jakie za ciasno w dzisiejszej Europie...“ („Naprzód“, Nr 115, 1910 r.).

„Sieroszewski ukazuje nam dusze japońskie w szczególny, indywidualny sposób... Cały tom wnosi do literatury żywioł nowy, odświeżający. Nigdzie się autor nie powtarza — powtarza się tylko głos serca jego, zawsze tętniący miłością człowieka i żądzą wyzwolenia“. („Krytyka“, Nr 6, 1910 r.).

„Znów egzotyczna książka Sieroszewskiego, pełna prawdziwego powabu... W literaturze polskiej nie mieliśmy dotychczas oryginalnego obrazu Japonii. Kreśli go dopiero po raz pierwszy, na podstawie wrażeń bezpośrednich, Wacław Sieroszewski. Nie suchym wykładem poprzedza autor szereg utworów nowelistycznych, osnutych na motywach japońskich, ale wspaniałym, poetycznie pisanym zarysem kraju... idziemy krok za krokiem za dobrym przewodnikiem, który nie szczędził trudu artystycznego, aby... dać nam możliwie dokładne pojęcie o kraju i o zamieszkującym go narodzie... Autor przerzuca nas „z fali na falę“, dodaje bowiem do swojej książki japońskiej europejskie już opowiadanie p. t. „Jak liść jesienny“... Kłębi się przed naszymi oczami, stłoczony w pudle jednego okrętu, cały nasz świat współczesny...“ (*„Kurjer Warszawski“*, Nr 151, 1910 r.).

„...Społeczna wartość utworów Sieroszewskiego wogóle, a „Z Fali na Falę“... w szczególności, jest wprost pierwszorzędna. Zdolne są one obudzić w duszach zarówno hart i męstwo, jak tkliwość i poezję, subtelność kwiatu, jak i heroizm walki. Tragizm i czar istnienia, moc i wysiłek, wiecznie i jedynie utrzymujący nad przepaścią nicości zarówno jednostki, jak i narody całe, przemawia z kart tej... książki.“ (*„Przedświt“*, Nr 7—8, 1910 r.).

„Świetne pióro Sieroszewskiego nie przestaje obdarzać nas wciąż dziełami niepospolitej wartości artystycznej... znowu mamy sposobność podziwiać jego talentu...“ (*„Tygodnik Ilustrowany“*, Nr 34, 1910 r.).

„Sieroszewski jest — nie tylko w literaturze naszej, ale wogóle w literaturze europejskiej — najwybitniejszym, największym „poetą Azji“, jej północnych i wschodnich krain... Ten cały świat egzotyczny nie ma dla Sieroszewskiego żadnych tajemnic... Ale egzotykiem tym nie przeładowuje treści dzieł swoich... Używa go li tylko za środek wywołania wrażeń... Tak też jest i w ostatniej jego powieści „Jak liść jesienny“ w tomie „Z fali na falę“... Z sielanki dwojga globetrotterów-Polaków — Sieroszewski zdołał uczynić arcydzieło nieporównane... I jak każde wielkie dzieło sztuki, tak i ta prosta opowieść wzrasta do wyżyn symbolu...“ (*„Świat“*, Nr 36, 1910 r.).

„Proste charaktery... proste zawikłania i rozwiązania... („Jak liść jesienny“) stanowi najbardziej osobistą rzecz, jaką dotąd dał Sieroszewski, należy też do najlepszych jego utworów. Całość... daje obok pięknych bardzo opisów ogromnie szczere i dobre wzruszenia uczuciowe.“ (*„Widnokręgi“*, Nr 14, 1910 r.).

„Umiłowanie beznadziejnego heroizmu cichych a silnych serc jest cechą twórczości Sieroszewskiego, wysuwającą się

na plan pierwszy i w tym tomie opowiadać.“ (*„Społeczeństwo“*, Nr 40, 1910 r.).

„Książka „Z fali na falę“ jest jednym z najcenniejszych beletrystyki naszej ostatnich lat klejnotów. Wzbogaciła ona dorobek nasz motywem obrazów nowych, jaśniejszych takim blaskiem, taką barwnością opisów, taką świeżością zasadniczych pomysłów, jaką chyba tylko u Lotiego znaleźć można. Jest ona też nowym, świetnym objawieniem talentu, który z umiłowanego tematu wykrzesał iskry najszczerzego natchnienia.“ (*„Nowa Reforma“*, Nr 518, 1910 r.).

„...Twórcza, cudowna potęga serca, potęga twórczych przeistoczeń, tkwiąca w cierpieniu, jest ukrytą podziemną melodią całej działalności pisarskiej Sieroszewskiego. Działalność ta stanie się kiedyś jedną z najpiękniejszych kart ducha polskiego...“ (*„Prawda“*, Nr 43, 1910 r.).

„...Zbiór wspaniałych nowel Sieroszewskiego zasługuje na szczery zachwyt. Lektura nowel Sieroszewskiego przenosi czytelnika z dusznej atmosfery dni dzisiejszych w jakiś świat inny, znany nam teraz jedynie z ksiąg ludzi, którzy dawno pomarli. Świat to wielkich uczuć, wielkich namietności, wielkich cnót i wielkiego bohaterstwa.“ (*„Kronika Powszechna“*, Nr 2, 1911 r.).

„...Temu głębokiemu odczuciu natury, jakiego świadectwo złożył Sieroszewski w „Liściu jesiennym“, dorównywa niewiele poetów europejskich. W pokątnym tomie „Z fali na falę“ wszystkie utwory wykołysało serce, bijące wzruszeniem na widok bujnego życia, tym razem życia w szatach wschodnich. Ale pierwsze miejsce wśród tych utworów zajmuje krótka nowela zatytułowana: „Pojednanie“. Pod względem artystycznym jest ona bez zarzutu; zbudowana zwięźle i harmonijnie.“ (*„Literatura i Sztuka“*, dodatek do *„Nowej Gazety“*, Nr. 9, 1911 r.).

„...Niebawym powodem cieszy się ostatnia książka Wacława Sieroszewskiego p. t. „Z fali na falę“. Te siedem niezwykle barwnych opowiadań, osnutych na tle japońskiego życia, nie tylko zajmuje egzotycznością; niektóre nowele, jak na przykład „Ingwa“ (o przebaczonej zdradzie małżeńskiej) i „Pojednanie“ (opowieść lub raczej przypowieść o kochającym sercu) — głęboko wzruszają. To też „Z fali na falę“ w niespełna cztery miesiące wychodzi w drugim wydaniu. Należy z uznaniem dla polskiej publiczności podnieść ten fakt.“ (*„Kurjer Poranny“*, 14 maja 1911 r.).

„Nowele powyższe są dowodem głębokiego wniknięcia w sam rdzeń istoty duszy orientalnej, sięgającym najwyższych dziedzin arcyzmu.“ (*„Książka“*, Nr 4, 1911 r.).

STRUG ANDRZEJ.

W TWARDEJ SŁUŻBIE.

(„Ludzi Podziemnych“ serja III. Treść: Prolog. — Cienie. — Sielan-
ka. — Ostatnie listy).

Cena 2 kor. 60 hal. (1 rb.).

„Opuszczając z Andrzejem Strugiem ten tajemny świat podziemi, co się przepala płomieniem nowego życia, pragniemy zwrócić uwagę czytelników na przepyszne, czarujące ogrody poezji, na które zlewa autor najjaśniejsze blaski swej sztuki. Obrazy przyrody... nastrojone są na wysoki ton symfonii społecznej, zjawiska natury żyją i odradzają się w tej zbiorowej idei. Rzewnym głosem przemawiają pola ojcyste, jakby nas rozgrzeszały z długich lat zapamiętania.“ („Kurjer Lwowski“, Nr 7, 1910 r.).

„...Książki Struga, piewcy ofiarnych walk i bohaterskich cierpień, cichych tragedji i serdecznych wiar... są niepowszednim zjawiskiem w literaturze polskiej...“ („Naprzód“, Nr 339, 1909 r.).

„Głębokie akordy wstrząśnień ideowych grają w duszach, żyjących na stronicach prac Struga; mówią nam, że piękna nie trzeba wcale wyszukiwać, trzeba tylko umieć żyć, żyć świadomie i widząco... Twórczość Struga w zatęchłą atmosferę „nastrojów“ prozodyjnych wnosi nowy wiew wiosenny, wróżący, że nowa karta piśmiennictwa polskiego już rozpoczyna powstawać... Każda nowa książka Struga przynosi nowe barwy i aromaty, nowych ludzi, nową duszę polską. Takich ludzi literatura jeszcze nie miała... Literatura ze społeczników robiła średniowiecznych świętych — u Struga są oni pokazani w całej ich zbroi duchowej i materialnej, Z bekrwistych manekinów cnoty nareszcie mamy ludzi żywych, ludzi takich, jakimi oni są w teraźniejszej rzeczywistości.“ („Prawda“, Nr 6, 1910 r.).

„Pan Andrzej Strug jest już znany czytającej publiczności. Dwa przedtym wydane zbiorki uczyniły go jednym z najbardziej interesujących beletrystów współczesnych. Oryginalność jednak artystyczna Struga polega na jego stanowisku, jakie zajmuje względem tematu. Przykuwa uwagę inteligentnego czytelnika nie tyle artystycznymi sposobami wypowiedzenia, ile skryształizowaną świadomością co do wartości ludzi i spraw, które przedstawia. Tematy więc odwieczne przez ujęcie swoje czyni nowymi, zajmującymi, a przytym maluje ludzi takich środowisk, co do których samo uwydatnienie środowiska wystarcza, by zaciekać czytelnika...“ („Mysł Niepodległa“, Nr 25, 1910 r.).

„Na czoło produkcji nowelistycznej ostatniej doby wysu-

wają się utwory Andrzeja Struga. Jest on nowelistą z urodzenia i temperamentu, obfitującym w bogactwo pomysłów, nie pozwalające mu skupić się dłużej nad jednym z nich. Śpieszno mu do nowej sytuacji, do nowej odmiany typu „człowieka podziemnego“. Nie wychodząc poza zakres tego typu, Strug nie powtarza się jednak nigdy.“ („Krytyka“, Nr 7, 1910 r.).

„Obrazy chwil bolesnych i wstrząsających, niekiedy obla-
nych oślepiającymi blaskami szczęścia, nieuchwytnego dla
dusz, wytraconych z normalnych kolei życia.“ („Kultura
Polska“, Nr 7, 1910 r.).

„Typy różnych działaczy, przeprowadzone przez czyścic
leż i uśmiechów poety“ („Slovansky Przehled“, Nr 10, 1910 r.).

„Strug... jest przede wszystkim psychologiem o dużych
zdolnościach analitycznych. Dusze, przez niego preparowane,
mają jednak nie tylko wartość dokładnych preparatów nau-
kowych. Ożywia je także technienie prawdziwego arcyzmu,
opromienia blask szczerzej poezji, skąpanej w szemrzącej ci-
cho fali jakiegoś wielkiego morza melancholji, bijącego o brzeg
tego ładu, który się życiem nazywa...“ („Kurjer Warszaw-
ski“, Nr 171, 1910 r.).

ŻEROMSKI STEFAN.

SUŁKOWSKI.

Tragedja w 5 aktach.

Wydanie drugie.

Cena 6 koron (2 ruble 40 kop.).

„Natchnienie Żeromskiego ma w sobie rwący pęd żywio-
łu: unosi serca w szaloną zawieruchę wyżyn, a których
dźwignąć i poruszyć nie może, druzgocze hańbą... ..Przed
każdym z nas staje w pewnej chwili słowo jego, jako zwiast-
tun odrodzenia lub śmierci; posiada moc i tęgość, a bije
z wysoka jak piorun... Zar natchnień jego odbija się łuną
niezmienną na niebie serc całej Polski. I w łunach owej
tęsknoty krwawiącego serca pod niebem bezwładnej, ujarz-
mionej rozpacz rozgrywa się dramat ostatni Żeromskie-
go — „tragedja o księciu Sułkowskim“, nieprzedawniona
tragedja — popiołów. „Tragedja“ Żeromskiego to wysłu-
chany... wdowi płacz ziemi ojczystej nad zwłokami rycerza...“
 („Prawda“, Nr 24, 1910 r.).

„Sułkowskemu“ Żeromskiego należy się jedno z pierw-
szych miejsc w historii polskiej dramaturgii. Dzieło Żero-
mskiego wydała krakowska „Książka“ z rzadką w naszym han-
dlu księgarskim starannością, świadczącą chlubnie o pracy tej
ruchliwej spółki nakładowej.“ („Głos“, Nr 140—143, 1910 r.).

„Piewca... objął niziny i ukazał wszystkie ich krzywdy, postawił na ich cokole człowieka — wojownika, uposażył go we wszystkie cechy, jakie najlepsi w narodzie wymarzyli o bohaterze polskim. I ten bohater przebóstwia się w naszych oczach. Dokonywa się najwyższy jedyny cud, w jaki człowiek dzisiejszy może wierzyć. Takim jest tryumf gienjuszu.“ („*Krytyka*“, Nr 7—8, 1910 r.).

...„Utwór, pełen pierwszorzędných piękności i myśli głębokiej, gorzką jednak mieści w sobie strawę...“ („*Goniec poranny*“, Nr 292, 1910 r.).

„Sulkowski“ na scenie przedstawiony — będzie to kawał gienjuszem ożywionej historii.“ („*Naprzód*“, Nr 38, 1910 r.).

„Sulkowski“ Żeromskiego jest tragedją walki o niepodległość duszy polskiej, o wyhodowanie z niej całkowitej woli, któraby szła, jak „żywy pocisk, torujący drogę wolności“. Spisowy ton pieśni Żeromskiego... stał się niemal syntezą dążeń i pragnień pokolenia... „Sulkowski“ do tego ognia, który ma objąć serca polskie, dorzuca cały las paliwa. Kto zbłądzi w serdeczne wnętrze tej książki, choćby tysiąc razy wyrzekł się polskości, rozetka się i zmęźnie, rozkwili i stanie się jak spizowy szczerbiec Bolesławów, co zwyczajstwo pisze.“ („*Przedświt*“, Nr 7/8, 1910 r.).

„Pod względem potęgi ekspresyjnej, zrównoważenia tudzież pełni środków artystycznych, utwór ten zajmie prawdopodobnie miejsce najwyższe w szeregu dzieł dotychczasowych Żeromskiego. Są w nim zdania, obrazy i słowa, gdzie polszczyzna, niesłyszana dotąd, poczyną drgać współ z tętnem żywiołów...“ („*Myśl Niepodległa*“, Nr 40, 1910 r.).

„Arcybogate i smutne dzieje... kto marzy o wyzwoleniu, komu nie jest obcą wspaniałość i piękno duszy rycerskiej — niech czyta i wczytuje się w tragedję Żeromskiego...“ („*Wiek Nowy*“, Nr 2722—2725, 1910 r.).

„Każde nowe dzieło Żeromskiego staje się ważnym zjawiskiem naszej kultury współczesnej... „Sulkowski“ powstał całkowicie ze stosunku autora do ogólnej klęski narodu. Jest też mniej dziełem sztuki dramatycznej, jak uczuciowym pomnikiem epoki; mniej tragedją sceniczną, jak tragedją myśli jednego z najwrażliwszych Polaków dzisiejszych, cierpiących na stałą, nieuleczalną bezsenność ducha...“ („*Nowa Gazeta*“, Nr 462, 1910 r.).

„Tragedję budzi w nas dzieło Żeromskiego, z siłą i mocą „rozrywające rany polskie“, przemawiające do nas głosem twardym i czasem bezlitosnym“. („*Kurjer Warszawski*“, dnia 21 lipca 1910 r.).

„Przepiękne są, zwłaszcza w akcie V, przedzgonne rozmowy Sulkowskiego z jego przyjacielem Venturą“. („*Świat*“, Nr 30, 1910 r.).

„Sulkowski“ jest tragedją czynu przygotowującego się, czynu w energii potencjalnej. Zewnętrznie określić można bohatera utworu jako łącznik między Polską szlachecką zamierającą, a rodzącą się ludową“. („*Widnokręgi*“, Nr 18, 1910 r.).

„Dziś w Żeromskiego wciela się sumienie narodowe. Dusza jego stała się niejako świętym kielichem, do którego spływają wszystkie łzy i cała krew umęczonego narodu. Każdy nowy utwór mistrza-pisarza jest jednym krzykiem bólu ludu zabijanego... Żeromski zdaje się nosić w sercu ogromny ból całego narodu. — „Sulkowski“ jest dziełem, napisanym dla Polaków przez jednego z najszlachetniejszych synów Polski“. („*Mercure de France*“, Nr 323, str. 563, 1910 r.).

„Duch wzniosłości panuje w tym dziele, jednym z najwspanialszych z nowej literatury“. („*Slovansky Przhled*“, Nr 7—9, 1911 r.).

